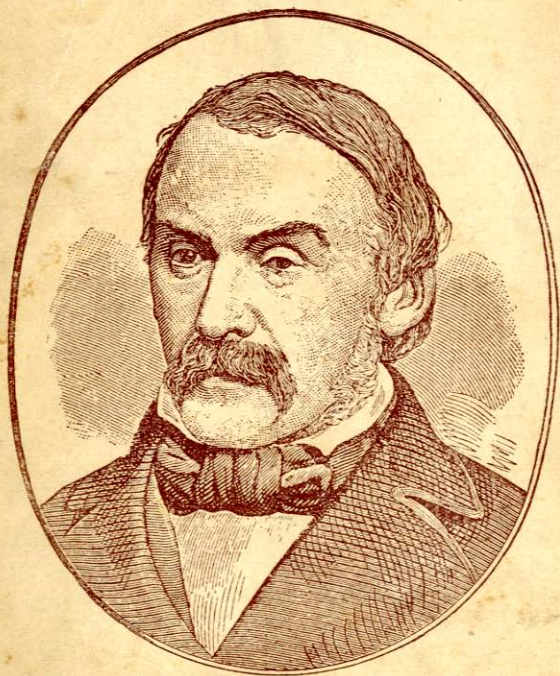


**BIBLIOTECZKA NARODOWA**

**KAROL SZAJNOCHA**



**OPOWIADANIA O KRÓLU JANIE III**

**CZEŚĆ I.**

**№ 82**

**WYDAWNICTWO M. ARCTA**

**kop. 20.**

BIBLIOTECZKA NARODOWA

---

Karol Szajnoch

OPOWIADANIA

# O KRÓLU JANIE III

(W STRESZCZENIU)

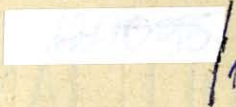
*Dr Bronisław Wieczorkiewicz*  
CZĘŚĆ I  
*Profesor Uniwersytetu Warszawskiego*

- I. ŻÓLKIEW – OLESKO – ZŁOCZÓW
- II. STANISŁAW ŻÓLKIEWSKI
- III. JAN ŻÓLKIEWSKI

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



135356



Дозволено Военною Цензурою.  
Варшава, 26 Мая 1915 года.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA  
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0063002

DRUK M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT 41

K-211/81 135356



I.

## Żółkiew. Olesko. Złoczów.

Do najpoetyczniejszych stron dawnej Polski należały niezaprzeczenie wschodnie okolice województwa ruskiego, rozciągające się szerokim pasem od Zamościa w ziemi chełmskiej aż do brzegów Dniestru w ziemi halickiej. W porównaniu z piaskami Mazowsza, z lesistą Litwą lub bagnami Polesia, była to kraina urodzaju i błogostwieństwa, wychwalana przez wszystkich prawie pisarzy z epoki Wazów i Sasów. Rymopis i historyk Kochowski nazywa ją «ziemią obiecaną, nie tylko obfitym płynącą zdrojem, lecz bogatą zarazem we wszelkie płody do codziennego użytku». Inny autor opisu Polski z 18 w. zwraca głównie uwagę na tę jej codzienną użyteczność: «Kraj województwa ruskiego może się nazwać obiecanym od Pana Boga, bo wszystek jest w gruntach żyznych, tłustych i czarnych. Najwięcej obfituje w zboża wszelkiego gatunku i bez wielkiej pracy gospodarzów. W górach i w polach czystych położony, oblany jest rzekami, jeziorami, stawami obszernymi; przytem opływa w sole, ma kuźnie żelazne, huty szklane, a naj-

więcej obfituje w stada koni, bydła i wszelkie w lasach zwierzę»...

Lecz ta, najpiękniejsza część Polski była razem krajem ciągłej prawej burzy wojennej, ciągłych najazdów tatarskich i tureckich. Nad tą ziemią obiecaną wisiała chmura nieustającego niebezpieczeństwa od pogan, grożących Rusi Czerwonej przez wszystkie czasy dawniejsze i późniejsze. Najpierw przygnębiło ją samo jarzmo mongolskie, wtłoczone na nią w stuleciu Dżengischana przez jego wnuków i plemienników, panów Złotej Ordy Kapczackiej, ujarzmieli całej Rusi wschodniej nad Dnieprem i nad Kłazmą. Po dwóch wiekach ciemięstwa upadła wielkość Kapczaku, otrzęsły się z niewoli mongolskiej księstwa Rusi zadnieprskiej, lecz ta zmiana losów nie przyniosła ulgi ziemiom czerwonoruskim. W tej samej bowiem porze, kiedy ustała dla nich kapczacka trwoga od Wolgi, nadszła z nad ujść Dunaju i Dniestru nierównie bliższe niebezpieczeństwo wojen tureckich.

Od lat przeszło 20 zdobywcy Konstantynopola, rozpostarli Osmanowie około roku 1475 zaborę swoje wzdłuż północnych wybrzeży morza Czarnego i zagarnęli półwysep Krymski z pozostałym tamże szczątkiem dawnej rzeszy Kapczackiej, t. j. z chaństwem Dżengischanowiców Girajów, odtąd holdowników Porty tureckiej. Gdyby nie opieka potęgi ottomańskiej, nigdyby Orda krymska nie stała się była tak groźną Polsce. Wspierając się wzajemnie, zaczęli Tatarzy i Osmanowie trudnem do odparcia brzemieniem nad jej wschodnio-południową granicą. Ilekroć Sultán uderzać miał na Polskę, musiał chan krymski posilkować go osobiście na czele stu tysięcy jazdy tatarskiej. Kiedy, przeciwnie, Polacy grozili odwe-

towem podbiciem jego półwyspu, Turcy kładli oręż wpoprzek drogi Polakom, i przestrzegali ich słowem surowem: «Ziemia to ottomańska, biada każdemu, kto ją najedzie!»

Ubezpieczone tym sposobem wzajemnem społecnictwem, dopomagały sobie obydwie nieprzyjacielskie potęgi tem skuteczniej we wspólnem dziele niszczenia Polski. Hordy tatarskie zapuszczały raz po raz pustoszące zagony w owe ziemie dostatków i urodzaju, i zamieniły się nakoniec w tak peryodyczną dla nich plagę, jak wylewy rzek, szarańcza lub powietrze morowe. Porta zaś posuwała coraz bliżej ku Polsce graniczne słupy stałego panowania.

Prawie jednocześnie z owładnięciem Krymu zniewolili Turcy zwierzchnictwu swemu Multany i Siedmiogród. Roku 1498 ujrzało Pokucie polskie wielką armię turecką, posilkowaną zastępami holdowniczych Tatarów i Wołochów. Roku 1520 większa połowa Węgier stała się «ziemią ottomańską» rządzoną przez tureckiego baszę w stolicy węgierskiej Budzie, a grożąca podobnym losem sąsiedniej Polsce. Górna połowa Węgier tylko sromym pokojem uszła niewoli, a władnący w niej cesarz chrześcijański został holdownikiem cesarza tureckiego, zmuszonym opłacać rocznie 30,000 czerwonych złotych haraczu.

Panujący Polakom dom Jagielloński dość już ofiar przyniósł wojnie tureckiej, aby się kwapić miał do nowych i równie krwawych poświęceń. W zeszłym wieku pod Warną zginął od Turków dziewiętnastoletni Jagiellończyk Władysław, król Polski i Węgier. Roku 1527 pod Mohaczem poległ z ich ręki drugi młodzieńczy Jagiellończyk, Ludwik węgierski — a synowiec i stryj obydwóch.

Zygmunt Stary król Polski starał się wraz z synem swoim Augustem o utrzymanie jak najspokojniejszego sąsiedztwa z Turcyą.

Skoro jednak wygaśli Jagiellonowie w Polsce, odnowiło się niebezpieczeństwo—owszem, dopiero teraz w prawdziwie zastraszającą wzmogło się grozę. Dzicz krymska najeżdżała, łupieżyla, brała tysiące jeńców jak dawniej—Sultan zaś w latach bezkrólewia po śmierci Zygmunta Augusta i po ucieczce Henryka Walezego zapowiedział zburzenie Polski, gdyby Polacy przeciw jego woli obrali królem Rakuszanina.

Po ciężkich napadach dziczy tatarskiej posłowie ziem ruskich stawali na sejmach w stroju żałobnym, błagając o pomoc dla znekanej krainy, z której sami starcy bezsilni nieśli teraz sejmowi wieści niedoli, bo wszystko pokolenie młodsze wyruszyło w pole przeciw Tatarom. Tureccy zaś wezyrowie w listach do cesarza chrześcijańskiego z r. 1575 nazywali Polskę krajem «od lat 30 pod opieką i rządami Porty będącym».

Napady dziczy tatarskiej tak często się powtarzały, iż stary hetman Żółkiewski naliczyć mógł za swojej pamięci 30 napadów «wielką Ordą», pomijając zagony mniejsze. Turecki zaś nacisk oddawna z tak blizka przygniatał Polskę, że już w roku 1589 pisał Jan Zamojski o niebezpieczeństwie wojny tureckiej: «Dałby Bóg, aby te dwoje miejsca (t. j. Kamieniec i Lwów) podziurzyć mogły do zimy»...

Takimto sposobem nagromadziła się nad pięknym krajem ruskim i ciężyla pospołu nad nim plaga tatarska i turecka. Turczyn, fanatyczny zdobywca, gotował mu stały podbój—Tatarzyn, ubogi rabuś, nieznający żadnych rzemiosł, nietrudniący się zwyczajnym handlem ani przemysłem, niema-

jący szerokich prowincyi do pobierania bogatego haraczu, ograniczony na swój opustoszały półwysp, patrzył na przyległą Ruś polską jako na jedyną skarbnicę utrzymania swojego, z której on rok rocznie wprowadzał sobie trzody, zdobycz wszelaką, osobliwie zaś ludzi. Z bydła miał pożywienie i odzież; porwane sprzęty i kosztowności świątyni i dworów polskich służyły mu za jedyną ozdobę nędznego życia, uprowadzone tysiące ludzi sprzedawał w niewolę na wszystkie strony Oryentu, który potrzebował niezmiernej ilości niewolników wszelkiego wieku, głównymi zaś dostawcami tego towaru byli właśnie Tatarzy, biorący go w największej części z okolic ruskich.

Jeden z najdokładniejszych opisywaczy Turcycy w wieku XVII donosi z obeznania się naoczno, iż Tatarzy coroku sprzedają w Stambule po 20,000 niewolników, prawie z samej Rusi Czerwonej.

Oprócz jeńców dorosłych chwytala Orda najchcwiej dzieci, uprowadzane nieraz całemi tłumami z pod strzech wieśniaczych i z dworów pańskich. Wraz z resztą niewolników szły one handlem w najodleglejsze strony tego Oryentu, a najliczniej do Carogrodu. Potrzebowała ich tam służba dworu i państwa Padyszachów, stojącego całkowicie na takim przyswajaniu sobie dzieci niewolnych, które w seraju cesarskim od lat najmłodszych w wierze i zwyczajach islamu wychowane, potem w stopniu Janczarów lub najzaufanych urzędników wysługujące się cesarzowi, urastały z czasem w najstraszniejsze narzędzia ucisku ludów chrześcijańskich.

Pod względem tej z Krymu dostarczanej serajowi cesarskiemu dziatwy niewolnej, uzupełniały się Orda i Porta wzajemnie w swoim zgubnym

wplywie na Polskę. Lupieska Orda miała ze strony Porty ciągłą zachętę do grasowania w ludności polskiej i dostarczania zastępom sułtańskim ciągłego z niej zasiłku — fanatyczno-rycerska Porta odradzała się ustawicznie młodością napływającej sobie młodzieży poturczanej — a tak poduszczając się nawzajem i uzdolniając do nieustannego dręczenia sąsiednich krain polskich, nosły im oba narody barbarzyńskie bezprzestanny postrach za głady.

Ocieniony tą podwójną chmurą, kraj «obiecany» pokrył się gęstymi śladami śmierci i spustoszenia. Głęboko popod te złote obszary kłosów, które za dni pokoju bujały na Rusi dokoła każdego dworu i sioła, ciągnęły się od dworów i zamków długie lochy podziemne, ćwierć milowe nieraz chodniki i korytarze, budzące po dziś dzień zdziwienie ludzkie, niegdyś charakterystyczna właściwość przyległych Tatarstwu okolic ruskich. Najpiękniejsze z tych kwiatów, z których roje pszczół ruskich zbierały swe miody sławne, rosły na licznych po całej Rusi mogiłach, będących także w znacznej części tylko pamiątkami grasujących tędy tłuszcz krymskich. Wiele bowiem z pomniejszych kurhanów ruskich były jedynie strażnicami od napadów tatarskich. Na Pokuciu ciągną się te mogiły kilkumilowym rzędem od Obertyna i Śniatyna aż do Bursztyna u Dniestru. «Gdy wejdziesz na jedną mogiłę, obaczysz drugą, z tej trzecią i następne; stąd strażnicy, rozstawieni po nich, łatwo wiadomości o napadzie Tatarów podawać sobie mogli.

Rok rocznie powtarzanemi napady udeptała sobie Orda po kwietnych polach ruskich trzy znane drogi czyli szlaki tatarskie, wpadające jak trzy prądy zniszczenia w szeroce rozpostartą ścianę

wschodnich granic województwa ruskiego. Najpółnocniejszy z tych szlaków, tak zwany czarny, wdzierał się w Ruś Czerwoną z Wołynia, i przerywał ją od Sokala ku Żółkwi, zmierzając wraz z obydwojoma innemi do wspólnego wszystkich celu, do ruskiej stolicy Lwowa. Na dzisiejszy Grzymałów, nazwany w przywilejach wyraźnie miastem na szlaku, biegł województwem ruskiem z Podola szlak średni czyli kuczmiński, i dążył ku Lwowu dalej na Zborów, Złoczów, Sasów, pozycytywane także za osady szlakowe.

Najbardziej od południa wbiegał z Wołoszczyzny przez Pokucie i Buczacz szlak, nazwany wołoskim albo pokuckim, strzeżony owym długim szeregiem mogił Pokucia. Były te prądy tatarskie niekiedy do pięciu mil szerokie, a zaorane dziś i obfitem okryte żniwem, służyły za przedmiot osobliwszej uwagi i pieczołowitości. Czuwali nad nimi osobni «stróże szlakowi» z najprzedniejszego rycerstwa — opisywali je, mierzyli, rysowali z największą dokładnością lustratorowie królewscy. Powiadają o wielu jeńcach u Tatarów i Turków, że lubo nieraz mogliby wyrwać się z kajdan, przecież dla niewiadomości drogi do swej ojczyzny wolą sroższe od śmierci dźwigać okowy, niż uciekłyzy z niewoli, błędzić bez ratunku po stepach lub dać się pożreć dzikim zwierzętom.

Niedola ta ciążyła głównie krainom ruskim, lecz to nie odstręczało im mieszkańców. Owszem, poetyczny kontrast między błogosławioną przyrodą kraju a wiszącą nad nim grozą pogańską jakby dziwnym jakimś urokiem pociągał ludzi ku Rusi. Zapewniają nas o tem bardzo wyraźne i wiarogodne słowa z onego czasu, zawierające oraz wiadomość, co to za ludzie utęskniali w ten sposób do naszej ziemi niebezpieczeństwa. «Narzędzie polskie» — czytamy w opisie Polski z stule-

cia XVI—«ledwie nie więcej od ruskiego w użyciu jest na Rusi, gdyż dla niezwykłej żyzności gleby i ciągłych harców z Tatarstwem chętnie się tam osiedlają Polacy»...

Dzięki więc zuchwałemu plemieniu, które z równą namiętnością kochało owe tłuste role czerwonoruskie jak i możność ustawicznych rycerskich zapasów z nieprzyjacielem wiary—nie zabrakło nigdy osadników Rusi Czerwonej. Z każdym nowym półwiekiem wznagało się nad nią niebezpieczeństwo od Tatarów i Turków i z każdym nowym pokoleniem przybywało jej dworów i siół, zamków obronnych i miasteczek, zagród szlacheckich i wiejskich, kościołów i klasztorów. W północnej stronie szerokiego województwa ruskiego rozciągały się dobra wielkich domów pańskich, jak Tarnowskich, Lubomirskich, Sieniawskich, Sobieskich i Potockich, południowa strona podgórska zaludniona była mnóstwem drobnych fortun szlacheckich, licznymi osadami szlactwa łanowego, rozciągającymi się prawie bez przerwy od Sanu aż do granic wołoskich.

Szlachta mniej można i panowie, mieszkańcy na dołach i na górach, wszyscy przyczyniali się zarówno do uprawy i obrony pięknego kraju, zakładali folwarki i pilnowali szlaków tatarskich, osadzali chłopów i zapędzali się rycersko za Tatarstwem do Perekopu, budowali kościoły i zapisywali w nich na kamieniach grobowych swoje z nieprzyjaciółmi Chrystusa staczone bitwy i rany, odniesione ku chwale Bożej.

Jakoż dopiero poglądając na to obywatelsko-rycerskie pożycie szlachty halickiej, uzupełniamy sobie najpiękniejszym rysem obraz poetyczny Rusi Czerwonej. Kraj błogosławieństwa, kraj niedoli, był to zarazem kraj osobliwszego zespolenia siel-

skości z rycerskością, cnót ziemiańskich z bohaterskimi, losów patryarchalizmu błogiego z tragicznością najwyższą. Dalsze ku wschodowi strony Podola i Ukrainy, jako w samej bramie nieprzyjaciół leżące, znały tylko stan wojny, która wytepiła wszelkie kwiaty pokoju. Tam rolnik był właściwie żołnierzem; dworów i obyczajów dworskich prawie nie było; zamiast pożycia rodzinnego, zawiązywały się chyba braterstwa rycerskie między pojedynczymi wojownikami, kilkuletnie towarzystwa między zabłąkanymi z Polski zuchami szlacheckimi a tą lub ową drużyną młojców zaporoskich.

Takie wyjątkowe stosunki, z powtarzającymi się ciągle scenami napadów i pogromów wzajemnych, nadają dziejom tych nadbrzeżnych okolic pewną surową, a wkońcu nużącą jednostajność.

Przeciwnie, w stronach województwa ruskiego kwitnęły jeszcze nierzadko dni pokoju, a życie rodzinne stawało się tem droższe, im częściej nieprzyjaciół okrywał je żałoba. Przyjemności życia wiejskiego, tem słodsze, im srożej niekiedy przeżywane burzą wojenną, wzbudzały tu natchnienie poetyczne, wyrażające się w sielankowej poezji ruskiej. Na takim tle rysujące się czyny bohaterskie nierównie głębiej przejmują serce. Za ginącym w obronie domu rycerzem ziemianinem widać zawsze płaczącą zdaleka żonę, matkę, sieroty. Obraz dzikiej nieprzyjaźni wojennej łagodnieje od niebieskiego światła miłości. Junactwo rycerskie zamienia się w natchnienie poświęcenia. Prawie każda znakomitsza rodzina staje się piastunką najpiękniejszych przykładów heroizmu.

Opowiemy tu jeden z najpoetyczniejszych ustępów takiego domowo bohaterskiego życia dawnych rodzin czerwonoruskich.

Główną widownią opowiadania niniejszego będzie niewielka przestrzeń województwa ruskiego w północno-wschodniej stronie od Lwowa. Leżały tam w kilkumilowej odległości od siebie trzy miasteczka z trzema zamkami warownymi, siedzi- by trzech znacznych imion ruskich. O cztery go- dziny jazdy ku północy od miasta stołecznego mieszkał w Żółkwi na początku roku pańskiego 1620 kanclerz i hetman w. koronny Stanisław Żółkiewski herbu Lubicz. O dwakroć tyleż drogi ku wschodowi od Lwowa, w zamku Oleskim, przebywał wojewoda ruski Jan Daniłowicz klej- notu Sas. Poblizki Oleskowi zamek Złoczowski był siedzibą wojewodzica lubelskiego Jakóba So- bieskiego herbu Janina. Byli sobie ci trzej pano- wie jakoby dziadem, synem i wnukiem, gdyż przeszło siedemdziesięcioletni starzec kanclerz i het- man w. koronny wydał od lat piętnastu córkę swoją za wojewodę ruskiego Daniłowicza, i na- zywał go przeto synem, a poważnych lat woje- woda miał nieco później wydać córkę swoją a wnu- kę hetmańską za młodego wojewodzica Sobieskie- go ze Złoczowa i podobnież stać mu się ojcem.

Taką samą różnicę starszeństwa wprowadzały między nich trzy różnych stopni godności, piasto- wane przez nich w Rzeczypospolitej. Najmłodszy albowiem wojewodziec był zwyczajnym szlachci- cem, należącym do stanu rycerskiego. Starszy wojewoda był senatorem, najstarszy zaś kanclerz i hetman w. miał godność senatora, ministra ko- rony, owszem, dzierżąc buławę i pieczęć wielką, stanowił walną podporę tronu. Według takiego- też starszeństwa należy obeznać się nam z rodzi- ną i osobą każdego z trzech znamienitych sąsia- dów ruskich.

Kanclerz koronny był pierwszym twórcą zam- ku i miasteczka, w których teraz przebywał. Przed nim Żółkwi jeszcze nie było. Dobra, które skła- dały późniejszą Żółkiewszczyznę, otrzymał nie- boszczyk ojciec kanclerza, wojewoda ruski Sta- nisław Żółkiewski dopiero około 1556 darowizną od dawnego właściciela. W miejscu nieistnieją- cej jeszcze Żółkwi leżała wieś Winniki. Niebo- szczyk ojciec kanclerski przemieszkował zwyczaj- nie w dzierzawionej przez siebie wiosce Turzyn- ce, niedaleko od Winnik, mającej tylko skromny dworec folwarczny.

Pod jego to strzechą urodził się około 1547 młodszy Stanisław, dzisiejsza chwała narodu i pod- pora korony. Kiedy ojciec w r. 1588 umierał, czterdziestoletni syn dostąpił już był hetmaństwa polnego koronnego i zastąpił świeżo szczęśliwym udziałem w bitwie Byczyńskiej.

Pierwszą myśl do założenia miasteczka i zam- ku Żółkwi dała mu coraz większa obawa napa- dów tatarskich i tureckich, wzmagająca się oso- bliwie od czasów Henryka Walezego, kiedy Tur- cy pogromieniem hospodara Iwonii założyli obóz u progów Polski w Multanach. W kilka lat po tym wypadku wielki Zamojski zaczął ku obronie Rusi budować twierdzę Zamość.

Roku 1596 znajdował się nasz hetman polny przy boku hetmana w. Zamojskiego na wyprawie w Multanach, wojując zwycięsko śmiertelnego nie- przyjaciela Polski, hospodara Michała.

Tymczasem pozostała w Turzynie małżonka hetmańska Regina Żółkiewska z domu Herburtów, czuwała nad raźnie postępującą budową zamku i nowego miasteczka. Nadesłanym wtedy do pani hetmanowej listem oznajmił hetman polny życze- nie, aby nowo-wzniesiona osada warowna na-



zwana była od imienia rodziny Żółkwią. Tak stała się piękny zamek żółkiewski, warowny z jednej strony szerokim stawem, z drugiej zaś panujący nad nowym miasteczkiem o dużym murywanym kościele, o ratuszu prawa magdeburzkiego, o wałach i fosach do obrony. Około nowego grodu kupiła się rozległa fortuna ziemska, uzbierana już to spadkiem po ojcu, już to przyrobkiem. Należały do niej np. wsie i miasteczka Kulików, Jaryczów, Dzidziłów, Nahaczów, Kukizów, dobra ukraińskie i inne. Nawet dalsze nieco Brody z 30 przynależącymi wsiami liczyły się około 1620 r. do dziedziny Żółkiewskich.

Przeszło siedemdziesięcioletni hetman nie tylko wiekiem, lecz i umysłem do dawniejszych należał czasów. Licząc lata swe na obozy, a 44 obozów występujący w ciągu dni swoich, nie miał prawie żadnych wspomnień, życzeń i trosk nad takie, które były wspomnieniami, życzeniami i troskami całego kraju. Stąd prywatny żywot hetmana zgasł niejako całkowicie w świetle jego zawodu publicznego, a szukając jego rysów i spraw domowych, spotykamy wszędzie historię kraju. Krajowi, Rzeczypospolitej oddał on swoje życie, poświęcił mienie, przeznaczył dzieci, pragnął w ofierze położyć głowę swoją. «Domowe rzeczy, o sprzętach, o dochodach» — pisze hetman w testamencie do żony — «tobie lepiej niżli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach Rzeczypospolitej utopił, swoich zaniedbawszy»... Podobnie opiewają ostatnie słowa do syna: «Nie zostawiam ci włości i majątności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód niemały. Wszystkom obracał na służbę Rzeczypospolitej, i część majątności, po ojcu mym zostawionej, uprzedam, ale mi tego nie żal»...

Syna wychowywał hetman jedynie ku pożytkowi ojczyzny, a nawet ręka córek hetmańskich miała być tylko dankiem najlepiej zasłużonych dobru pospolitemu. «A widząc Żółkiewski, hetman polny, czułość i biegłość w rzeczach rycerskich dziada waszmości» — przemawia autor genealogii Koniecpolskich o hetmanie Stanisławie Koniecpolskim do jego wnuka — «córkę swoją Katarzynę w stan św. małżeński onemu dał». Wszystko zaś co miał najcenniejszego, dla dobra ojczyzny przez całe życie szafując, zatęsknił hetman na starość przelać także krew za nią.

Obyczajem wszystkich starodawnych rycerzy, śmierć na łożu starości zdała mu się niegodną hetmana chrześcijańskiego, a wszystkie myśli starca skierowały się ku uproszeniu od Boga chwalebnej śmierci w obronie kraju. Zwłaszcza palma męczeńska w boju z nieprzyjaciółmi kraju i Chrystusa zarazem — stała się ulubionym marzeniem ostatnich kilkunastu lat Żółkiewskiego. Odzywa się ta starorycerska tęsknota w wielu pozostałych po nim zapiskach, w listach do króla i przyjaciół, najuroczyściej zaś w testamentach.

«Będąc na teraźniejszej Rzeczypospolitej posłudze» — pisze hetman na Ukrainie w obliczu nieprzyjaciół kraju i krzyża — «życzę sobie tego, abym mógł zdrowiem swoim zastąpić niebezpieczeństwo ojczyzny, a położyć żywot z pogany, dla wiary św. chrześcijańskiej... Co się tyczy pogrzebu ciała mego, przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich bez pogrzebu zostają. Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć Władysława króla, co u Warny zginął, niż wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle woli i obiecania Bożego. Życzę pewnie sobie śmierci, tak słodkiej dla wiary św., dla ojczyzny, ale nie wiem,

jeśli tej łaski od Pana Boga godzien. Jakożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak jeśli bym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żalobę, niech trumna pokryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej—a to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiętki i pobudki drugim do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny».

Słowa te pisane były już przed laty czternaście, zdaleka od zamku Żółkiewskiego. Jak bowiem nie dla swojej, lecz dla swoich rodzinnych stron ochrony zbudował hetman swój zamek, tak też nie często widziano w nim hetmana. Tylko rzadkie chwile trwalszego spokoju kraju pozwalały mu zagościć w nowym zamku, nacieszyć się rodziną, użyć widoku nowej fundacji. Częściej od samego hetmana przybywały listy jego do żony, nadsyłane umyślnymi gońcami z najodleglejszych stron kraju, niosące nieraz ważne zlecenia i doniesienia dla wiadomości sąsiadów. Miewała pani kanclerzyna i hetmanowa wieści takie od małżonka z Wołoszy, z Inflant, z Moskwy po sławnem zwycięstwie pod Kłuszynem, z Podola po traktacie z Turczyńcem w Buszy, który tyle zgryzot ściągnął na starą głowę hetmańską. A Regina Żółkiewska godna była uczestniczyć w złej i dobrej doli dozgonnego przyjaciela swojego.

Wszystko co o niej wiemy, składa się w nader piękny obraz matrony owego czasu. Powinowała wielkiego założyciela Zamościa (Zamojski urodził się z Herburtówny) przygotowywała męża na każdą wojnę, zaopatrywała wszystkie potrzeby wojskowe, krzątała się listownie o posiłki, gdy przyszła wiadomość o potrzebie takowych. Po-

nieważ pan hetman, jak sam mawiał, «wszelką myśl swoją utopił w sprawach Rzeczypospolitej», przeto pani hetmanowej zostało zawiadowanie sprawami domowymi, rządzenie całym majątkiem.

A jakaż zacna pobłażliwość kierowała nią w takich rządach, jaka mądra wyrozumiałość przewodniczyła jej sądom o rzeczach ludzkich! W testamencie Jana Zamojskiego opiekunami jego małoletniego syna Tomasza wyznaczeni zostali przez ojca: wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski i hetman Stanisław Żółkiewski z wojewodą lubelskim Markiem Sobieskim. Pan wojewoda krakowski zagarnął jakoś całą opiekę a po dojeździe do pełnoletności Tomasza zaniósł się między bytym piastunkiem a głównym opiekunem na sprawę trybunalską o niewierny zarząd majątku sierocińskiego. Natenczas «ciotka» pana Tomasza Regina pisze do swojego bratanka, będącego już wojewodą kijowskim: «Trudna to sprawa, kiedy jeden chce wziąć a drugi nie ma co dać. Między waszmościami przyjdzie pono do tego, że wojewoda będzie się z bochenka chleba wyliczał. Nie żałował nieboszczyk dobrodziej nikomu, waszmość tak czyń, a Pan Bóg waszmości będzie błogosławił. Proś nas raczej na wesele, niż się długów upominaj, mój panie wojewoda».

Z tak godnej towarzyszki dały nieba panu kanclerzowi troje dzieci, syna Jana i dwie córki, Zofię i Katarzynę. W obecnej wszakże chwili już tylko dwoje z nich żyło. Najmłodsze z dzieci, ukochaną «Kasieńkę», poślubioną sławnemu w następnych latach hetmanowi w. Koniępcowskiemu, wówczas dopiero podstolemu koronnemu, zabrał Pan Bóg po niedługim pożyciu bezdzietnie z tego świata. Starsza córka, Zofia, była w latach następujących za wojewodą ruskim Janem Danilowiczem, dowo-



lona z niezwykłej piękności w wierszu weselnym, mieszkała w zamku męża swego w Olesku.

Cała więc uwaga państwa kanclerstwa spoczęła na synu Janie, jedynaku w zamku Żółkiewskim. Dochodził on właśnie owej pełni młodości, kiedy zaczynają ziszczać się dumne oczekiwania rodziców. Cały dwór żółkiewski patrzył na niego, jako na przyszłą podporę domu, jako na świetne kiedyś podobieństwo cnót i zasług ojcowskich. I patrzył też dwór pana kanclerza na mnogich arcydostojnych gości, przebywających niekiedy przez dłuższy czas w jego murach. Byli takimi n. p. car Wasyl Szujski i jego brat książę Dymitr, których Żółkiewski po zwycięstwie Kłuszyńskim podejmował przez długie miesiące na zamku w Żółkwi, nim ich na sejmie r. 1612 oddał w ręce królewskie.

Sprawy kanclerskie i hetmańskie ściągały do Żółkwi raz po raz najpierwszych dygnitarzów koronnych, posłanników królewskich i starszyznę wojskową. Wielu przybyszów wiodła do Żółkwi jedynie chęć znalezienia przytułku, bądźto od grasujących po kraju nieprzyjaciół Tatarów, bądź od sroższych nieraz nad Tatarą prześladowań wrogiej fortuny. Pomędzy tymi ostatnimi godzien jest pamięci osobliwie pewien z dalekich stron wędrowca, którego imię następnymi czasy rozniosło się w nader smutny sposób po całej Polsce.

Jakoś niebawem po ukończeniu zamku zgłosił się u bram jego człowiek podróżny, mający pozor ubożego szlachcica. Pozostały najsprzeczniejsze podania o jego domu i pochodzeniu. Według jednych był on wistocie podupadłym szlachcicem czyto z Litwy, czy z Mazowsza albo nawet z Lisianki na Ukrainie; według innych, przyczyną jego upadania się po świecie była kara banicy za

jakis występki w miejscu rodzinnem. Snuło się po wszystkich stronach ówczesnej Polski tak wiele podobnej szlachty ubogiej lub wywołanej i sięgało ich tyłu do wszystkich klamek pańskich, że nic łatwiejszego podówczas dla kogokolwiek, jak przybrać postać takiego wędrowcy szlacheckiego i znaleźć gotowe przyjęcie pod każdym dachem pańskim.

Znalazł je także w Żółkwi nasz nie dość dokładnie znajomy przychodzień, i pod imieniem Michała Chmielnickiego, a poufalszem wyrażeniem Chmielniczeńki, wmieszał się bez trudności w orszak służby zamkowej. Przez lat kilka spełniał pan Michał najpośledniejsze obowiązki przy dworze pana hetmana, aż r. 1605 odprawiło się w Żółkwi wesele najstarszej córki hetmańskiej z panem wojewodą ruskim Janem Daniłowiczem, podówczas dopiero krajczym koronnym. Natenczas wielu dworzan Żółkiewskich przeniosło się z panną młodą do niedalekiego Oleska, i wtedyto zapewne dostał się także Chmielnicki w służbę pana krajczego koronnego.

W Olesku powiodło się przybylcowi z całego świata doczekać się nakoniec szczęśliwego ustalenia losu na całe życie. Pan krajczy koronny był z łaski królewskiej starostą bełskim i korsuńskim, a starostwo korsuńskie na Ukrainie posiadało bardzo wiele pustych, a żyznych obszarów do osadzenia. Może z powodu takiej rozległości, a nieuprawy starostwa zostało ono około r. 1617 podzielone w dwie osobne ziemie królewskie, obie ciągle w dzierżeniu pana krajczego.

Chcąc tedy zaludnić urodzajne pustkowia swoich starostw, rozdawał pan krajczy różne grunty pod różnymi warunkami osadnikom z głębszych okolic Polski, a panu Chmielnickiemu, jako nie-



gdyś domownikowi teścia, a teraz słudze swojemu, przeznaczył na osadę miejsce korzystniejsze od wielu innych. Nazywało się ono Subotowem, a złożone było z niewielkiej przestrzeni leśnego pobrzeża rzeki Taśminy o milę od Czehryna. Według pospolitego rozumienia, była to własność niczyja, którą pan krajczy, a później wojewoda ruski Daniłowicz usną darowizną nadał w posiadłość dziedziczną Chmielnickiemu. Ten założył tam futor, urosły następnie do znaczenia wsi Subotowa.

Trudniąc się gospodarstwem w nowej osadzie, sprawował Chmielnicki jednocześnie urząd pisarza dochodów starościńskich w Czehrynie. Dalszy przeciąg czasu związał go owszem jeszcze liczniejszymi węzłami z Ukrainą. Poznał się bowiem z córką pewnego zamożnego osadnika ukraińskiego, czyli kozaka imieniem Teodor, z słowiańska Bohdan, i lubo już w niemłodych zdaje się leciech, poślubił czarnobrewą dziedziczkę dobytku kozackiego. Spowinowaciwszy się zaś w ten sposób z bracią ukraińską, postanowił właściciel Subotowa opuścić całkowicie niepewną służbę pańską i szukać szczęścia na polu wojskowości kozackiej. Jak więc tylu innych zamożnych posiadaczy ról i futorów ukraińskich, zaciągnął się właściciel futoru subotowskiego i małżonek córki kozackiej w szeregi kozaków rejestrowych, a dzięki wieloletniemu obeznaniu się ze sprawami dworów i wielkich panów, został obrany pisarzem pułku rejestrowego w Czehryniu.

Była to razem fortuna prawdziwie ukraińska, pozwalająca żyć na stepie podpanka, nie dbać o sprawdzenie rodowitości szlacheckiej i wychowywać starannie synów, jak to obaczmy na synu pana pisarza czehryńskiego Bohdanie.

Dziedzic Oleska, wojewoda ruski Daniłowicz, nie zastąpił wprawdzie jak jego teść Żółkiewski pierwszym założycielem swojej siedziby, ale jak Żółkiew tak i Olesko od niedawna znachodziło się w rodzie posiadaczy dzisiejszych. Jeszcze w wieku XVI był ten starożytny zamek własnością owej możnej rodziny z Sienna, która od kilku pokoleń tak rozległe dobra posiadała na Rusi. Pod jej to ręką otrzymał on w znacznej części swoją postać warowną, odpowiadającą wybornie charakterowi całej krainy. Wznosząc się bowiem u szczytu samotnej góry, otoczonej szeroką a niegdyś błotną nizina, zdawał się zamek Oleski tylko najogromniejszą z owych strażnic mogiłnych przeciw Tatarstwu, jakich tyle sypano wszędy po błoniach ruskich. Od Sienieńskich przeszło Olesko do Daniłowiczów prawie w tym czasie, kiedy późniejsza Żółkiewszczyzna przeniosła się do Żółkiewskich, a Złoczów do Sobieskich. Zresztą mieli się Daniłowicze za jeden z najstarożytniejszych rodów całej Rusi Czerwonej, owszem, za książęcych plemienników dawnego króla Daniela czyli Daniły, przez co też w przemowach uroczystych tytułowano ich nierządkiem Jaśnie Oświeconymi. Jak Zamojski założył Zamość, jak Żółkiewski Żółkiew, tak i wojewoda Daniłowicz, jeżeli nie siedzibę swoją w Olesku, tedy około r. 1615 zbudował niedaleko miasteczko Sasów, nazwane tak od Daniłowiczów klejnotu Sas, a przeznaczone głównie ku obronie siedzącego na szlaku tutejszym ludu. Oprócz tego czytamy pana wojewodę w starych dokumentach fundatorem wielu kościołów, jak np. w Sasowie r. 1631, w Stanisławczyku r. 1626, w Rudzie czyli w późniejszej Kochawinie w powiecie Żydaczowskim nad Dniestrem r. 1631.

Okazałym więc po dawnemu był zamek pana Jana Daniłłowicza w Olesku, i wiele domów koronnych poczytywało sobie za chlubę połączenie się z jego panem. Dzisiejsza wojewodzina ruska, z domu Żółkiewska, była już drugą małżonką wojewody. Pod okiem rodziców dorastało troje nadojnych dziątek, druga córka z pierwszej żony, Maryanna, dziewica w pełnym kwiecie urody, i dziewięć lub dziesięćletni syn Stanisław z również młodzianą siostrą Teofilą z powtórnego małżeństwa.

Jakób Sobieski był trzecim z owych panów województwa ruskiego, których dwory zajmują teraz uwagę naszą. Najmłodszy ze wszystkich, mieszkał on także w niezbyt dawnej siedzibie domu swojego. Pierwotnem gniazdem Sobieskich herbu Janina poczytywano wieś Sobieszyn w Lubelskiem, gdzie jeszcze za króla Leszka Czarnego żyć i wojować miał z Jaćwingami wojewoda sędmierski Janina, protoplasta rodu i herbu. Za rozkrzewieniem się domu rozeszli się niektórzy Sobiescy na północ do Podlasia, inni ku południowi na Ruś.

Pomiędzy tymi, którzy w Lubelskiem i na Rusi kwitnęli, upamiętnił się osobliwie Marek Sobieski, już w r. 1599 dziedzic nabytego od Sienieńskich i panów Górków Złoczowa, głośny za czasów Stefana Batorego jako rycerz nieporównanej waleczności, zmarły wojewodą lubelskim roku 1606. Z pozostałego po nim potomstwa młodszy syn Jakób, dziedzic na Złoczowie i sąsiad Daniłłowiczów w Olesku, zasłynął miał z wziętości u braci szlachty i z najwyższych w Rzeczypospolitej dostojęństw. Dopomógł mu do tego młode lata, naukami ćwiczone, obeznanie się ze sprawami państw obcych w kilkoletniej podróży po zagra-

nicy i wyższe ze wszech miar uzdolnienie umysłowe, objawiające się niezwyčajnym darem wymowy i ciągłym zamiłowaniem w pracach piśmiennych. Do późnych lat bywał syn wojewody Marka z Sobieskiej Woli ulubionym mówcą przy każdej uroczystości domowej i publicznej, i pozostała w rękopiśmie księga osobna, zawierająca «Mowy i Pisma różnych czasów JMC. Pana Jakóba Sobieskiego krajczego koronnego, a naten czas wojewody bełskiego.

Z każdej ważniejszej czynności życia swojego lubił pan Jakób Sobieski zdawać sobie sprawę piśmienną, wkładając obszerniejszy o niej pamiętnik, jak np. Relacye z dwóch podróży za granicą w latach 1607 i 1636, komentarz wojny chocimskiej i zawartego za jego spółczestnictwem traktatu z cesarzem tureckim Osmanem w r. 1621, dyaryusz rokowań z posłami szwedzkimi w Stumsdorfie 1635 i t. p. Nawet w mowie wiązanej pozwalało sobie pobujać pióro pana Jakóba, czego dowodem znajdujący się pomiędzy owemi mowami wiersz o Podhorcach, napisany z okazji założenia prześlicznego zamku w sąsiedztwie Złoczowa i Oleska przez hetmana Konięcpolskiego.

W językach zagranicznych był tak biegłym młody dziedzic Złoczowa, iż podróżując niedawno po różnych odległych krajach Zachodu, spisywał swoje uwagi podróżnicze na miejscu w języku kraju każdego, któremu to zamiłowaniu w ozdobnem do każdego języka łatwie naginajacem się słowie towarzyszyła u pana wojewodzica lubelskiego niepospolita cześć dla wszelkiej wogóle oglądy i wytworności światowej, czyniąca go wielkim przyjacielem zwyczajów dworskich, może aż nazbyt pochopnym do ulegania wymaganiom i upodobaniom, z góry idącym. Przed laty sze ciu

czy siedmiu wrócił on z peregrynacji po Niemczech, Francyi, Holandyi, Anglii, Hiszpanii i ziemi Włoskiej.

Po niedługiej chwili spoczynku i przerwanych zabaw autorskich przyszło wyruszyć z królewicem Władysławem na wojnę moskiewską r. 1617, w której Jakób Sobieski przyprowadził królewicowi tak bogato i ozdobnie przystrojone rotysarskie, że je powszechnie nazywano złotemi. Przyjechawszy szczęśliwie do domu, ożenił się wojewodzie lubelski młodo z księżniczką Maryanną Wiśniowiecką, córką wojewody ruskiego Konstantyna, księcia Wiśniowieckiego. Nie było jakos woli Bożej w tym związku, gdyż niedawno poślubiona małżonka umarła już w roku 1624, nie zostawiwszy potomstwa.

Sobiescy byli także spokrewnieni z domem Herburtów, który spowinowacił ich dalej nietylko z Żółkiewskimi i Daniłowiczami, ale z mnóstwem innych domów pańskich w Koronie, ile że starożytna rodzina panów na Folsztynie i Dobromilu «wszystkie prawie znaczniejsze domy polskie powiązała ze sobą». Za lat niewiele ścieśnia się jeszcze bardziej te ogniwa powinowactwa, gdy pan wojewodzie lubelski, zaszczycony już godnością starosty krasnostawskiego i w. krajczego koronnego, poślubi młodocianą wnuczkę hetmańską w zamku oleskim, pannę wojewodziankę Teofilę Daniłowiczównę. W obecnej chwili około r. 1620 nie zna on jeszcze tej sądzonej sobie od Boga koligacji, patrzy na swoją przyszłą «Tosieńkę» z Oleska jako na dziecko dziesięcioletnie, i żyje z jej rodzicami i dziadostwem na stopie sąsiedzkiej przyjaźni i uprzejmości.

W taki sposób miały się do siebie one trzy zamki czerwonoruskie, trzy przybytki rodów za-

nych i dzielnych, przodkujące wielu podobnym innym zamkom województwa ruskiego. Więcej niż miodu i mleka na ziemi ruskiej było prawości, światła, podniosłości serc i umysłów u mieszkańców tych zamków, a nad ziemią i nad zamkami spiętrzała się coraz czarniejsza chmura niebezpieczeństw od wschodu. Już przed laty trzydziestu, w r. 1589, spostrzegliśmy ją tak nisko nad Kamieńcem i Lwowem; dziś wiele nowych okoliczności zamiast odwracać ją od narodu, ścigało mu ją owszem coraz naglej na głowę.

Jedną z tych okoliczności było, niestety, samo pozorne szczęście ojczyzny, dogrzewające jak słońce południowe zuchwałym i ambitnym animuszom braci szlacheckiej, tak starszej jak i młodszej. Lada szlachcic na zagrodzie mniemał się wojewodą, a lada wojewodzie lub kasztelanie poczytywał się panem udzielnym, upoważnionym do równania się księżętom panującym, do zawierania z nimi sojuszków i koligacji, do szukania sobie następstwa na ich stronie.

Tym sposobem weszło w zwyczaj myśleć głównie o sobie, niknęła powoli wszelka możność skupienia butnych umysłów w jedno wielkie, powszechne przedsięwzięcie, cały związek społeczny zaczął rozpręgać się w mnogość nieunoszonych, niczem zespolić się niedających samowolników. Stąd, ile razy władza królewska zamierzyła wstępnym bojem zwalczyć którekolwiek z niebezpieczeństw zewnętrznych, coraz trudniej było uzyskać potrzebną zgodę bądźto na dostateczne poparcie wojny, bądźto na samo jej rozpoczęcie. Skoro zaś niedostatecznie poparta wojna do wątpliwego doprowadziła pokój, znaleźli się zaraz pojedynczy zapaśnicy na własne ramię, którzy zuchwałymi zaczepkami potężnego nieprzyjaciela zawi-

chrzali zawarte z nim przymierze. Pokój był z księstwem Moskiewskiem, kiedy Mnischowie wprowadzili na nie swego zięcia Dymitra, i zapalili kilkunastoletnią wojnę moskiewską, w której po części nieudolność i upór króla Zygmunta Wazy, po części zaś niedostateczność wysiłen ze strony kraju, nie miały pożądanego osiągnąć skutku. Pokój był z Turcyą, kiedy polscy szwagrowie straconego przez Turków hospodara Mohiły jęli dobijać się o spokrewnioną sobie Wołoszę, i ściągnęli tem ostatecznie burzę wschodnią na ziemię Rzeczypospolitej, która i tym razem «mniej o się dbała, albo raczej kazała się bronić, ale na to ani wojska ani pieniędzy nie było». Zatrudniony do tego wojną moskiewską król Zygmunt III przestał więc na daniu zlecenia hetmanowi Żółkiewskiemu, aby ze szczupłym wojskiem swoim unikał stanowczej bitwy z blizkimi granic polskich Turkami i żądał raczej układów.

Posłuszny królowi, hetman powstrzymał nadciągającą ku Polsce armię turecką rokowaniem o pokój, i w Buszy nad Dniestrem dnia 23 września r. 1617 zawarł ze Skinder Baszą okrzyczany traktat tego imienia. Nie ustępując ani piędzi ziemi nieprzyjacielowi, obowiązał się hetman natenczas imieniem Rzeczypospolitej do wzbronienia panom polskim raz na zawsze najazdów na ziemię mołdawską, wołoską i siedmiogrodzką, a Kozakom łupieskich wypraw na morze Czarne, i przyrzekł Tatarom zwyczajne niegdys podarki.

Owej rozzuchwalonej szczęściem dumy i ambicyi szlacheckiej zdały się te warunki upokarzające, którym jak najprędzej należało dać zaprzeczenie czynami. Skutkiem więc rozbuwania potęgi ottomańskiej u granic Rzeczypospolitej a hardej niesforności w jej łonie, przyszło do rozpoczęcia

nanowo kilkudziesięcioletniej epoki okropnych wojen, które z dłuższymi i krótszymi przerwami zaczęły srogim brzemieniem swobodnemu rozwijaniu się losów narodu, a w których zwłaszcza rodziny trzech naszych zamków czerwonoruskich wzięły z kolei udział niezmiernie ważny.

Był to udział ofiar i trudów, ale trudów i ofiar, wielką nakoniec uwieńczonych nagrodą. W ofiarę rozjuszonej odtąd na Polskę hydrze pogańskiej oddały nasze trzy zamki ruskie, co tylko miały najdroższego dla siebie. Poświęciły jej najprzód głowę siedemdziesięcioletniego dziada i patryarchy swojego, hetmana w. Żółkiewskiego, poświęciły następnie bezprzykładną w dziejach kolejną trzech pierworodnych dziedziców swoich, t. j. najstarszego syna z domu Żółkiewskich w Żółkwi, najstarszego z domu Daniłowiczów w Olesku, i najstarszego z domu Sobieskich w Łoczowie, po siwowłosej głowie dziadowskiej poświęciły młodzięcze głowy syna, wnuka, prawnuka. Dwaj pierwsi z tych na ofiarę wydanych pierworodnych byli jedynakami w domu ojcowskim, przez co uosobione w nich domy ich przodków, domy Żółkiewskich i Daniłowiczów, całkiem upadły z ich śmiertcią. Dom Sobieskich ocalał jedynie w przypadkowie ocalonym synu poślednim, a syn ten młodszy, z mlekiem rodu swojego wyssawszy wojnę pogańską, stał się głośnym po wszystkim świecie mścicielem pradziada, dziada, wuja i brata...

II.

## Stanisław Żółkiewski.

Nie wiedząc, co jutro w sobie kryje, poczytano niepomysłny traktat w Buszy za ostateczne wysilenie przemocy ottomańskiej. Cała bogata ziemia wołoska zamknęła się nietyle rzeczywistemu zwierchnictwu Korony, ile raczej rozpasanym zamysłom ambicyi pańskiej. Podniosły się zjadliwe skargi i obmowiska przeciwko staremu hetmanowi. Napróżno łagodził je król okazywaną mu łaską, i nawet dopiero teraz zaszczycił hetmana obydwoma jego wysokimi dostojenstwami, buławą wielką i kanclerstwem wielkiem koronnem. Nie obeszło się wszakże bez ciężkich wyrzeknięć przeciw sprawcy traktatu w Buszy. Zarzucano mu niedołęstwo, brak odwagi, opieszałość i t. p. Uczuł je sędziwy wojownik tem boleśniej, ile że już oddawna bodła go ta lada czego kokosząca się swarliwość braci szlachtetnej.

Bohaterski zwycięzca pod Kluszynem musiał teraz oczyszczać się z podejrzania, iż nie śmiał stawić czoła wrogowi. Dla uciszenia obmowisk zakończył hetman swoją usprawiedliwiającą się mowę na sejmie prośbą do króla, aby wolno było omdlałym rękoma złożyć buławę. Król nie chciał odpuścić sługi wiernego, a hetmanowi przyszło tylko pocieszać się nadzieją, iż zdarzy się jeszcze sposobność zawstydzić złe języki, i dostąpić, czego pragnął przez całe życie — słodkiej śmierci za ojczyznę i wiarę.

Tymczasem ozwał się z ziemi wołoskiej głos nader miłej pokusy, nęcący do zerwania traktatu

w Buszy. W kilkanaście miesięcy po zawarciu onego nadała Porta gospodarstwo multańskie niejakiemu Kasparowi Gracyanowi, jak prawie wszyscy gospodarowie multańscy wywyższonemu przez sultana rycerzowi fortuny.

Zaledwie ustalony w Multanach, wszczął Gracyan poufną korespondencję z hetmanem Stanisławem Żółkiewskim, ostrzegając go mianowicie o nieprzyjaznych Polsce zamysłach księcia siedmiogrodzkiego Betlema Gabora, który miał ciężką urazę do Polski za nadesłanie cesarzowi Ferdynandowi II pomocy zbrojnej z Kozaków Lissowczyków, których napad na Węgry odwiódł Betlema od szczęśliwie zaczętej wojny z cesarzem Ferdynandem, a nawet od koronacji w Budzie i opanowania całej ziemi węgierskiej. Dlatego poduszczal sultana do wojny z Polakami. Gdy się o tem dowiedziano w Siedmiogrodzie, rozciągnął Gabor swoją nienawiść ku Polsce i na zdrajczego Gracyana, któremu też wskutek przedstawień Gaborowych postanowiono w dywanie odebrać gospodarstwo multańskie, przeznaczone po nim gospodarowi wołoskiemu Aleksandrowi. Natenczas uwikłany we własne sieci, Gracyan musiał, chcąc nie chcąc, rzucić się w objęcia Polski, i objawił to postanowienie radzie koronnej.

Odezwa Gracyanowa uradowała niezmiernie niezadowoloną traktatem Buszeńskim rzeszę szlachecką, zapatrującą się na każdą sprawę publiczną okiem ambitnej imaginacyi, a oporną wszelkiemu przyczynieniu się materyalnemi środkami do urzeczywistnienia widoków swojej ambicyi. Nawet w radzie królewskiej dały się słyszeć głosy za przyjęciem Gracyana w opiekę i toczeniem zań wojny z Turcyą. Nie wadziło bynajmniej, iż głosy te pochodziły od przekupionych stronników dworu austriackiego, który, obawiając się wojny



z cesarstwem ottomańskim, pragnął jak najusilniej zwrócić tę wojnę na Polskę. Słaby Zygmunt III przechylił się z łatwością ku zdaniu jurgielników rakuskich. Do zamku w Żółkwi nadeszło polecenie królewskie, aby pan hetman pośilkował Gracyana.

Hetmanowi i kanclerzowi Żółkiewskiemu zdawało się słuszną rzeczą powodować się tym razem głosem powszechnego żądania. Nie mógł pierwszy doradzać wojny z państwem tureckiem, gdyż przedsięwzięcie takie wymagało nierównie większych wysiłków, niż naród gotów był czynić. Nie chciał przecież zniechęcać do wojny, aby nie podać się na starość w tem cięższe posadzenie o małoduszność. Walka z pogany miała przytem niepowściągnięty urok dla starca, który wyrósł w marzeniach o rycerskiej palmie za wiarę i którego młodość połała się nadzieją zamierzonych przez króla Stefana zapasów z półksiężycem. Dziś dawna tęsknota położenia głowy za kraj i za Chrystusa rymowała tak zgodnie z chęcią przekonania bezmyślnych obmowców, że jeszcze nie zgasł ogień w piersi hetmańskiej, a niesmak rozżalonego do braci niesfornej serca przydawał pośpiechu i pewnej zawziętości postanowieniu.

Kanclerz i hetman rzucił się z wielką rącością do spełnienia rozkazu królewskiego, do podania żądanej pomocy Gracyanowi. Zamek żółkiewski zabrzniał w pół lata roku 1620 głośniejszymi przygotowaniem do wojny. Brało w nich, niestety, większy udział szczupłe koło rodziny i przyjaciół hetmana niż wielkie koło całej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Wielkiejto dla nas nauki to wybieranie się starego hetmana Żółkiewskiego na wojnę r. 1620. Wszystek naród oburzył się na

poniewolny traktat w Buszy, ze wszystkich ust wzniosłyby się były wyrzuty, jeśliby nie wsparto zbrojną ręką Gracyana, a gdy obecnie w Żółkwi wszczęły się przygotowania wojenne do wyprawy, która całą potęgę ottomańską wyzywała do boju, zaledwie kilka tysięcy rąk na całym szerokim obszarze Polski sięgnęło po misiurkę i pancerz, aby stanąć pod chorągwią hetmańską. A i tę szczupłą siłę winna była Rzeczpospolita w znacznej części tylko osobistym związkom hetmana, rycerskiej ochocie kilku panów możniejszych i wojennym urządzeniom ludu ukraińskiego.

Podczas gdy w zachodnich prowincjach Polski ani jedna prawie szabla nie brzęknęła w pochód ku Żółkwi i Wołoszczyźnie, zacna małżonka hetmańska krzątała się w swoim zamku około zaopatrzenia Jegomości we wszelkie potrzeby obozowe i wzywała swego bratanka Zamojskiego do przyłożenia się ku przedsięwzięciu zbrojnemu:

«Jego Mość daje znać Waszmości o niebezpieczeństwach, które zachodzą Kościół Boży i ojczyznę. Pewnam tego, że Waszmość nie zaniechasz zwykle dopomagać, zastawić się za to przykładem zacnego domu swego i przodków swych. My Pana Boga prosić będziemy, aby raczył pofortunić».

Oprócz modłów do nieba wysyła Regina Żółkiewska na wojnę jedynego syna swego Jana przy boku ojca, a wraz z synem rodzonym gotowali się towarzyszyć sędziwemu hetmanowi jego synowiec Łukasz Żółkiewski z Brodów, jego siostrzeniec Aleksander Bałaban, starosta winnicki, jego zięć były a zawsze ulubiony przyjaciel Stanisław Koniecpolski, teraz już hetman polny koronny, a temsamem współnik w dowództwie nad wyprawą.

Nie ociągnął się z pomocą i drugi zięć hetmański, pan wojewoda ruski Jan Daniłłowicz z Oleska, i jak w ostatnich latach można było widzieć go zawsze ze znamienitym pocztem rycerskim przy ręce teścia, tak i obecnie zbroił on mu znaczny hufiec w swoich dobrach województwa ruskiego i w swoich starostwach ukraińskich. Stamtąd, z Czehrynia śpieszył mianowicie ów przez wojewodę Daniłłowicza na futorze subotowskim osadzony Michał Chmielnicki, niegdyś domownik rodziny Żółkiewskich i Daniłłowiczów, dziś setnik wojska kozackiego i przełożony nad hufcem swojego niegdyś dobrodzieja z Oleska. I śpieszył szczerze na usługi hetmana i ojczyzny, gdyż jak pan hetman prowadził przy sobie jedynego syna swego Jana na pole niebezpieczeństw wojennych, tak i ze starym setnikiem z Czehrynia Chmielnickim wyruszył w pierwsze pole jego podobnie jednak Zenobiusz Bohdan, nazwany tak po swoim dziadu kozackim Teodorze czyli Bohdanie, młodzian troskliwie wychowany, boć najprzód w kijowskich szkołach uczony, a potem nawet w Jarosławiu u Ojców Jezuitów w łacinie i innych światowych umiejętnościach polerowany...

Z takimi familijnymi rotami Żółkiewskich, Daniłłowiczów, Zamojskich, Koniecpolskich, połączyć się miały nieco liczniejsze siły stojącego obozem wojska narodowego, szacowane ostatniemi czasy na 5000 zbrojnych, a w obecnem niebezpieczeństwie wojennem o jakie 3000 żołnierza powiększone. Znajdowało się w tej szczupłej armii kilkanaście chorągwi husarskich, razem do 1500 rycerstwa, mającego z sobą, jak zwykle, tłum służby, ciurów, wozów ładownych i t. p. Nie mało szlachty zebrało się pod chorągwiami tak zwanych kozaków Lisowczyków, prowadzonych

przez znanego z dzielności wodza Walentego Rogawskiego, w liczbie 1200 żołnierza. Zaciężnej rajtarii cudzoziemskiej pod wodzą walecznego młodzieńca Hermana Denhoffa, nie umiejącego wcale po polsku, acz do zasłużonej Polsce rodziny należącego, było nie więcej nad 200 koni. Piechota cudzoziemska razem z kwarcianą liczyła 2000 człeka, pod komendą Wolframa Farensbacha. Przybyło jeszcze do tego kilka tysięcy ludzi, przywiedzionych przez możnych miłośników ojczyzny i życia wojennego, jakoto przez starostę kamienieckiego Aleksandra Kalinowskiego, który dostawił 400 zbrojnych—Jana Tyszkiewicza, który naciągnął podobnie w 400 koni — i Stefan Chmielcki, przyprowadził 800 Ukraińców. Za pieniądze zaciągnięto 1600 Kozaków, znalazło się też 400 jazdy barskiej.

Wszystkie te siły zbierały się w różnych miejscach przez miesiąc lipiec, a w połowie następnego miesiąca zgromadziły się pod rozkazy hetmana w. koronnego na Podolu pod Barem. W początkach sierpnia opuścił hetman z synem zamek żółkiewski z pozostałą tam żoną i matką, aby się udać w daleką drogę wojenną, która, jak każdy krok siedemdziesięciokilkuletniego starca, musiała wydać mu się ostatnią.

Lubo więc natchnienie zamierzonego czynu wielkiego nie dawało zgasnąć pogodzie na obliczu, żalodne przecież było rozstanie z progiem domowym. Niedługo przed wyjazdem hetmana z Żółkwi okazała się nocą niewycieczną jasność na niebie — może przyświecający temi czasy całej wschodniej Europie kometa. Przestraszeni domownicy hetmańscy mniemali widzieć w tem jakieś potykające się wojska ogniste, a kilku pobiegło zbudzić hetmana. «Na moją to głowę!» rzekł

hetman, wejrząwszy w niebo, i przypomniał sobie starą wróżkę ze Świńczy pod Rzeszowem, która jeszcze w młodych latach przepowiedziała mu wszystkie pomyślności dalszego życia i chwalebłą śmierć za ojczyznę.

Jakby do jawnie już promieniejącego przed sobą kresu dni swoich dążąc, odjechał hetman szybko do wojska w Barze i poczynił ostatnie rozporządzenia. Przyjął nowe listy Gracyana, wzywające do czempreńskiego przybywania mu w pomoc, a pełne obietnic połączenia się całej Wołoszy z Polakami przeciwko Turkom — pożegnał króla listem z wiadomością o blizkiem wyruszeniu do ziemi Gracyanowej — przejrzał i uzupełnił dawniej sporządzony testament. Poczem zamiast, według powszechnego spodziewania, jakimś szczupłym podjazdem wzmocnić sprawę Gracyana, a z resztą wojska bronić granic od Turków, sam ku wielkiemu zdziwieniu ludzi przeprowadził się z wojskiem w dniach 2 i 3 września przez Dniestr, wkraczając w granice państwa ottomańskiego.

Był to pierwszy krok tej heroicznej determinacji, którą zraniony obmowiskami bohater zamyslił uświetnić i może zamknąć swój zawód. Odważając się na nierówne zapasy z Portą, wypadało nie czekać Turków u siebie, lecz uprzężyć ich wstępny bojem: «Będzieli rzeczpospolita ojczyzna moja miła» — pisze hetman w pożegnawczym liście do króla — «difensivo bello<sup>1)</sup> w ziemi swej (jeśli jeszcze popospolitem ruszeniem jako na elekcyi króla Henryka pisano) chcieć wojnę z Turki odprawować, actum est,<sup>2)</sup> zginęliśmy. Jeśli z nieprzyjacielem w ziemi jego czynić

<sup>1)</sup> w wojnie obronnej; <sup>2)</sup> stało się.

i najeżdzać go będziem, non est desperandum ze victoria. <sup>1)</sup> I co wiedzieć, nie tenci to sposób, przez który Pan Bóg ten brzydki, plugawy pogański naród pokonać a narody chrześcijańskie z niewoli wybawić raczy»... Dlatego rad w duszy wszelkim z tak zuchwałą wyprawą połączonym hazardem, okazał się stary kanclerz i hetman w chwili stanowczej śmielszym od najśmielszych cenzorów swoich i zadziwił wojsko wkroczeniem w ziemię turecką.

Od wyjazdu hetmana Żółkiewskiego na wojnę panowała w zamku żółkiewskim istna cisza klasztorna. Pozostałe w domu żony bawiących na wojnie mężów poczytywały się za obowiązane do prowadzenia żywota zakonnego, i zwyczajnie nawet zakonny strój przywdziewały. I pani hetmanowa Żółkiewska przyrzekła w onym liście do bratanka z Zamościa prosić Boga o podanie ręki walczącym, a modły jej liczyły się zapewne do najgorętszych na ziemi. Miała bo Regina Żółkiewska błagać Boga o dwa najdroższe sercu niewiasty życia — o męża i o syna — syna jedyną domu nadzieję. Współ z matką w zamku żółkiewskim modliły się za nimi córka i wnuka w Olesku, zamku Daniłowiczów, wojewodzina ruska Zofia z Żółkiewskich i córka jej Teofila. Wojewoda Daniłowicz i jego sąsiad w Złoczowie Jakób Sobieski, wstrzymani osobiście od udziału w wyprawie do Wołoszczyzny, wyglądali tem chciwiej każdego gońca z obozu, chwytali każdą ustną i listowną wiadomość.

Z początku nie brakło takich doniesień o pochodzie wojska polskiego i towarzyszących temu

<sup>1)</sup> nie należy rozpaczać o zwycięstwie.

okolicznościach. Dowiedziano się niebawem z podawanych sobie skwapliwie listów, iż Wołosi nie uścili się z przyrzeczeń swego hospodara Gracyana. Zatrwożeni szczupłością wojska polskiego, nie stanęli bojarowie mułtańscy do wspólnej walki przeciwko Turkom, lecz poukrywali się w popłochu po leśnych kryjówkach kraju, zostawiając walkę samym Polakom. Nawet i Gracyan stracił nadzieję zwycięstwa tak szczupłymi siłami, i zamierzywszy uciec przez Bukowinę i Ruś Czerwoną do Niemiec, został dopiero groźnym upomnieniem hetmana Żółkiewskiego przymuszony do połączenia się z wojskiem hetmańskim. Znalazły się więc nieliczne hufce polskie sam na sam z nadciągającymi zdaleka wojskami tureckimi pod wodzą znanego Polakom z lat poprzednich wezyra Iskender Baszy, u Polaków zwyczajnie Skinder Baszy, albo dla jego węgierskiego pochodzenia Mandziar Iskender Baszy, wielkorządcy tureckiej Bessarabii. Wojskom tureckim towarzyszyły hordy tatarskie pod sprawą Kałgaj Sultana czyli namiestnika chańskiego Dewlet Giraja, u Polaków pospolicie sultana Gałgi. Naczelnikiem drugiego oddziału posiłkowego, złożonego z hord czyli kajmaków nogajskich, był sławny u Turków i Tatarów Murza Kantemir, srogi niszczyciel Polski od dawnych czasów.

Nie ustraszyła jednak ta liczba zdecydowanego na wszelką ostateczność hetmana, którego odwaga dodawała także dobrej myśli rycerstwu. Według ostatnich doniesień, stanęli Polacy dnia 12 września na rozległej dolinie o dwie mile od Jas, zwanej Czczora albo Cecera, i rozłożyli się obozem w tych samych ręką polską usypanych okopach, gdzie przed laty 24 hetman w. Zamojski przy polnym natenczas hetmanie Stanisławie

Żółkiewskim walczył szczęśliwie z Tatarstwem i Turkami. Odtąd przez dwa tygodnie nie stało żadnych wiadomości o hetmanach i wojsku na dolinie cecorskiej.

Przerwały tę ciszę złowrogą, nie pierwiej jak pod koniec miesiąca września dwa nadniesione z obozu listy, które jakkolwiek nie przeznaczone dla rodziny hetmańskiej w Żółkwi, były tam z drzeniem serca czytane. Pierwszy pochodził od samego kanclerza i hetmana, który dnia 24 września pisał w nim do króla co następuje:

«Najjaśniejszy miłościwy Królu! Oznajmiłem waszej Królewskiej Mości, panu memu miłociwemu, o przyjściu sultana Gałgi i Skinderbasze, zechmy ich co godzina wyglądali, o czym jeżeli ten list mój doszedł, raczyłeś wasza Królewska Mość wyrozumieć. Przyszedł tedy, dziś tydzień, sultan Gałga i Skinderbasza tu, pod obozem stanęli; nazajutrz w piątek mieliśmy z nimi potrzebę w wieczór z łaski Bożej fortunną, zraziliśmy ich z pola; trwała ta burda między nami, aż zmrokiem wróciliśmy się i oni i my do obozu swego. Zaś w sobotę za zdaniem zgodnem wszystkiego rycerstwa wyszliśmy w pole aperto Marte <sup>1)</sup> z wojskiem uszykowanem, zwiedliśmy potrzebę z niemi odkrytą; i trwała bitwa sześć godzin od południa aż do samej nocy; aequo Marte <sup>2)</sup> stanęło, zeszedli oni do swych stanowisk, poszedli i my do swego taboru. Były rzeczy dobrej nadziei, że potężnie i dalej mogliśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi; lecz nazajutrz, to jest w niedzielę, nie mała część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieszali nam rzeczy. Nie

<sup>1)</sup> z początkiem marca; <sup>2)</sup> w połowie marca.

mianuję na ten czas nikogo, wszak sami tam się ukażą, którzy nas tak nieprzystojnie odbieżeli, acz wątpię, żeby ich wiele miało ująć: bo pławiąc się w nocy przez Prut, siła potonęło, i wielka część od nieprzyjaciela, który im tam lasem za rzeką zaszedł, pobici, pojmani. I ci źli, niebaczni ludzie wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego było, iż już wszystko wojsko do takowegoż sromotnego uciekania miało się udać. Z jegomością panem hetmanem polnym i niektórymi panami rotmistrzami, co przy nas zostali, constantia nostra, <sup>1)</sup> zatrzymaliśmy wojsko i stoimy tu od siebie bliżej niż z Warszawy do Ujazdowa. Wojska sultan Gałga i Skinderbasza mają wielkie, dobrze więcej nad 60.000. Więźniowie, którycheśmy dostali, powiadają, żeby ich miało być do 100,000. Zapuścili się prosto byli ku państwu Rzeczypospolitej, atosmy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje I dalej co się godzi wiernym waszej Królewskiej Mości sługom i dobrym synom ojczyzny, czynić będziemy według największego przemożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko niebezpieczeństwo, pisałem po kilkakroć do waszej Królewskiej Mości, żebyś raczył obmyślać de subsidiis et supplementis, <sup>2)</sup> teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba; zaczem pewniem, że wasza Królewska mość nie raczysz nas zapomnieć. My tymczasem ad extremum halitum <sup>3)</sup> zatrzymamy przeciwko waszej Królewskiej Mości całą wiarę i miłość przeciwko ojczyźnie. Gospodar wołoski z tymiż naszymi uciekańcami poszedł, nie wiem przybyłli, czy nie? Te teraz in isto statu <sup>4)</sup> rzeczy nasze;

<sup>1)</sup> stałością naszą; <sup>2)</sup> o posiłkach i rezerwach; <sup>3)</sup> do ostatniego tchnienia; <sup>4)</sup> w takim stanie.

co się ponowi, ile sposobów dostanie, nie zaniecham dawać znać waszej Królewskiej Mości panu memu miłościwemu, którego się miłościwej łasce oddaje. Dan w obozie, okopanym na Cecorze dnia 24 września 1620 r. Ceduła. Rannych jest między nami po części, których też nie godzi się nam odbiegać. Pan Bałaban, starosta winnicki, pan Denhof, pan Maliński. Z rotmistrzów: synowiec i syn mój, poranieni, postrzelani, ale nieškodliwie, wyleczą się».

List drugi miał cechę całkiem prywatną, ale w bardzo wymowny sposób uzupełniał oględne wyrażenia się pana kanclerza. Datowany o jeden dzień później od pisma kanclerskiego, był list przyjacielski od pana Łukasza Miaskowskiego do pewnego niewymienionego bliżej «Dobrodzieja», w słowach następujących:

«Pisałem do waszmości 17 praesentis trzy listy. Nazajutrz przyszedł sultan i Skinder Basza z 60.000, jeśli nie więcej wojska. 18-go w piątek była utarczka fortunna przed wieczorem mrokiem. 19-go trwała żywa i ognista bitwa od południa do samego wieczora. Tylko pan Wrzeszcz, Goślicki, Wahowski, Komalikowski rotmistrze zginęli. Chciał JMC pan kanclerz jeszcze nazajutrz potrzebę zwięść, bo mało ludzi naszych zginęło, ale z niedzieli na poniedziałek w noc ciemną p. starosta kamieniecki Kalinowski, p. podkomorzy lwowski z halickim, Odrzywolski strażnik, Kazdorowski, Łaszcz, Tyszkiewicz, Gracyan, z większą częścią wojska od nas uszli przez Prut tumultuose. Słychać było głosy tonących, ba i od szabel tatarskich na tamtej stronie Prutu umierających. Wątpliwa ażeby kto zdrowo uszedł. Ci potrożyli wojsko, że siła rozróżnionych serc. Atoli starsi nasi do tego rzeczy wodzą, żeby tu przy okopie dla chwały Bożej

i ukochanej ojczyzny zdrowie położyć, jeden na drugim poledz. Stoi bardzo blisko nas nieprzyjaciel, w Panu Bogu nadzieja, że nas nie pożyje, bo mamy okop dobry, strzelby dosyć, prochów i żywności. Pan starosta winnicki, pan Denhof, pan Małyński, dwóch rotmistrzów, pan starosta Rubieszowski (syn hetmański Jan Żółkiewski) i pan Łukasz Żółkiewski poranieni i postrzelani, i innych wielu towarzyszków. Nasz pan Rożanowski postrzelon nieszkodliwie, pan Krzysztof Chmielecki zdrów, pocztu zbył; pan Cielecki zginął, pan Robaczyński, pan Chełkowski jest. Pan Drobieżyński starszy ranny, młodszy zginął. Pan Bóg z nami i z wami niech będzie. Ceduła cyfrowana. Mój Dobrodzieju, źle koło nas, źle! Turcy i Tatarzy zewsząd oblegli; śmierć, zgubę widzimy! szanę, kosze tuż porobili, z dział kule w namioty kanclerskie lecą, wał mały, przeskoczy go, prochów nie staje, konie drudzy jedzą. Za lada Gałł! Gałł! w nogi od wałów. Rady ludzkie ustały, w Bogu tylko nadzieja. Już podobno waszmości, mój dobrodzieju, nigdy nie zobaczą. Proś za duszę moją Boga, i wszyscy krewni niech proszą. Jeżeli też więzieniem zostanę, to proszę o okup, bo śmierć, więzienie przed oczyma; w obojgu proszę o zmiłowanie. Teraz tu już głód — woda a mięso, innego nic. Deszcz, zimno, bieda. W tumultcie wszystko poginęło, jużesmy poginęli. Pan Bóg niech tam rodakom wszystkim błogosławi. Łoiczkę, który z zdrajcami był uszedł, wczora na mogile Turcy na pal wbili. Traktatami się porywają, ale na zdradę. Chcą od nas Turcy upominku i iść do Polski. Bądźcie ostrożni, bo nas zniósłszy będą u was. Z obozu na Cecorze 25 septembris 1620».

Trudno było o smutniejsze nowiny. Połowa wojska zniesiona nie od oręża nieprzyjaciół ale własną niesforą, własnem odstępstwem. Najznamienitsi panowie i rycerze jak Kalinowski, Tyszkiewicz, Odrzywolski, Chmielecki (od roku następnego postrach Tatarów i opatrność zasłoniętych przezeń ziem ruskich) — w najnikczemniejszy sposób opuścili hetmanów w obliczu wroga, odbieżeli zagrożonej chorągwi, zdradzili braci, wiarę, ojczyznę. A sromoty takiej dopuszczono się bez wszelkiego powodu, bez oslepiającego umysł popłochu w nagłem niebezpieczeństwie, którego wcale nie było. Dopuszczono się tego kroku bez żadnej innej przyczyny, jak tylko z podszeptu owego nieszczęśliwego ducha sporności, który rwał wszelkie rady w sali sejmowej i rozprzegął wszelką karność w obozie.

Stała rada wojenna na dolinie Cecorskiej ustępować taborem ku Dniestrowi, i oszańcowawszy się tam naprędce, czekać posiłków ku dalszej wojnie. Ale jakżeby odętym pychą i zarozumieniem o sobie samych umysłem przestać było na zdaniu jednym, zdaniu cudzem i starszem! Przeciw hetmańskiemu więc przełożeniu ustępowania taborem ku Dniestrowi ozwał się zdanie ustępowania konno przez Prut, a wśród spornych okrzyków «Dniestrem!» i «Prutem!» poszła połowa wojska w rozsypkę. Godny karniejszych rycerzy wódz, złomany żalem i wiekiem, przyzwyczajony zwyciężać nieprzyjaciół, okazał się niezdolnym zwyciężyć swoich. Przygotowany do świętej wojny z pogany, znalazł wojnę i klęskę od własnej braci, w własnym obozie. Owa «nierządność i krnąbrność», która już u wstępu zawodu dobiła mu krwawo pokrzywdzeniem ojca pod Wiśnią — na którą następnie bolał, nastawał przez całe

życie — miała teraz nad grobem przyprawić go o zglubę.

Po odtrąceniu zbiegów, rannych, poległych, ujrzał się wierny przy nim zastęp 3000 do 4000 ludzi wobec sześćdziesięciu tysięcy nieprzyjaciół — w kraju cudzym i niezwykłym, bez podobieństwa rychłej pomocy. Donoszące o tem listy obadwa pisane były dnia 24 i 25 września — coś w sześciu albo siedmiodniowym przeciągu czasu aż do chwili odczytania onych w Żółkwi około 30 tegoż miesiąca — mogło stać się z hetmanem i garsteczką żołnierza, wydanemi razem na pastwę tak nieskończenie większej przemocy!...

Nie wiemy o żadnych posiłkach, któreby król Zygmunt III na powyższy list hetmana z obozu cecorskiego uzbrajał ku odsieczy wojsku swojemu. Jedyną pomoc, do jakiej pobudziły nasze listy cecorskie, przygotować chciała żona opuszczonego od rycerstwa hetmana, matka złożonego ranami syna. Nie tracąc ani chwili czasu, zebrała Regina Żółkiewska co mogła naprędce złota, srebra, klejnotów i kosztowności, i wyprawivszy gońca z listem do małżonki w obozie, pośpieszyła sama do bratanka swojego, wojewody Tomasza Zamojskiego w Zamościu. Tegoż roku na wiosnę pojął był młody ordynat w małżeństwo Katarzynę księżniczkę Ostrogską wojewodziankę wolińską, a pan hetman i kanclerz w dniu swobodniejszym od dzisiejszego dziękował za nią w Jarosławiu imieniem pana młodego — teraz miał wojewoda z toni ostatecznej ratować przyjaciela i opiekuna młodości swojej. Złożyła w tym celu pani kanclerzyna w jego ręce przywiezione z Żółkwi złoto i kosztowności, błagając o zaciągnięcie co prędzej żołnierza ku odsieczy.

Pan wojewoda kazał natychmiast zaciągać w całej okolicy ludzi służebnych, rozesłał ku temu kilkadziesiąt tysięcy złotych na wszystkie strony, i rozpisał listy do panów możniejszych, z których zwłaszcza zięć kanclerski, pan wojewoda ruski Daniłowicz, pośpieszył z wystawieniem 200 żołnierza. Jednocześnie wyszła imieniem pana Zamojskiego odezwa do szlachty ziem poblizszych, wzywająca do śpieszenia w pomoc ginącym braciom, a miejscem zgromadzenia naznaczone zostało dziedziczne Zamojskich miasto Tarnopol. W kilka dni potem, dnia 14 października, wyruszył z Zamościa sam wojewoda na czele 800 uzbrojonych naprędce ludzi, dążąc na Belz ku miejscu powszechnego zebrania.

Spotykały ich w drodze wiadomości, które powinnyby były dodać skrzydeł odsieczy. Nadszedł list od pana kanclerza do małżonki, którego oddawca zdolen był oświecić poniekąd o dalszych losach okopanego na dolinie cecorskiej wojska. Dowiedziano się w najogólniejszych rysach, iż hetman w. Żółkiewski z hetmanem polnym Koniecpolskim i pozostałą resztką rycerstwa jeszcze przez cały tydzień po sromotnem zbieżeniu części wojska przez Prut, utrzymali się w swoim obozie cecorskim przeciw oblegającej zewsząd potęgze. Dopiero w dzień św. Michała we wtorek o nieszpornej godzinie, wyszło wojsko polskie taborem, t. j. otoczone zewsząd wozami, po 17 dniowem obozowaniu z okopów, aby wśród zastępujących mu nieprzyjaciół utorować sobie drogę ku brzegom Dniestru. Aż do wyprawienia owego listu hetmańskiego do żony, trwała ta droga siedem nocy i tyleż dni. Nocy oddane były głównie trudnemu pochodowi dwudziestu kilku milowym krajem bezdrożnym, rzekami i bagnami poprze-

rzynanym. Dnie trawiono najczęściej w odpierniu ponawiających się ustawicznie szturmów tureckich a osobliwie tatarskich pod dowództwem sułtana Gałgi i murzy Kantemira.

Przez cały ten czas jakby jaka twierdza ruchoła, jakby jaka wałami i armatą z przodu i z boków najeżona osada zbrojna, posuwał się nasz podłużno czworoboczny, 600 kroków wzdłuż a 300 wpoprzek mierzący tabor szczęśliwie przez pola i rzeki naprzód, następując zwyczajnie wprost na oczekujące go koczowiska tatarskie, i zmuszając je do otwarcia mu drogi wpośród swoich kotar i teleg. Wszakże od mili do mili wzmagało się znużenie drogą i ciągłą walką z pohaństwem krymskiem i nobajskiem, które pod swoim niezmordowanym Kantemirem ustawicznie wieszalo się nad taborem.

Przez cały siedmiodniowy przeciąg pochodu zdarzył się tylko jeden nocleg spokojny. Ostatnie dwie noce i dnia półtora aż do wtorku 6 października nie można było ani chwili spocząć dla ciągłej walki z Tatarstwem i ciągłego dążenia naprzód. Z głodu, z unżenia, osobliwie zaś z bezsenności upadała większa część wojska z nóg. Mnodzy tracili przytomność i przykłąkali lub leżeli jak martwi po wszystkich kątach taboru. Wielu odchodziło od zmysłów i wpadało w obłąkanie, we wściekłe szaleństwo.

Kiedy więc w takim stanie zbliżył się tabor nakoniec we wtorek 6 października o dwie mile do Dniestru, zdawało się już niepodobieństwem, aby omylić mogła nadzieja osiągnięcia brzegów ojczystych, przez co obawa nieprzyjaciela stała się o tyle mniejszą. Natenczas przemogła żądza długiego wzbranianego spoczynku, zaczęto powszechnie domagać się zatrzymania pochodu dla wy-

tchnięcia. Napróżno przedstawiali hetmani, że teraz właśnie należy podwoić usiłowania, gdyż im bliżej koniec tak bezprzykładnych zapasów z pohańcami, tem zażarciej będą oni nastawać na zgubę wojska, tem droższą jest każda chwila. Nie dało się przekonać tem żołnierstwo, lecz szemrać coraz głośniejszą przeciw rozkazom wodzów, porwało się do otwartego rokoszu. Ostatnim i najśroźszym dopustem Bożym zawisła nad wojskiem burza rozprężenia wszelkiego ładu, która już u kresu tyłu poświęceń zagroziła ulegnieniem wrogowi.

W takimto przewidywaniu ostatecznego, znacznie stygnącego już boju, przyszło panu kancle rzowi wyprawić ów list do żony, który w czasie wyruszenia przygotowanych przez nią posiłków dostał się w ręce rodziny hetmańskiej w Żółtkwi. Mieścili się w nim następujące słowa rezygnacyi i wiary:

«Miłościwa jejmość pani a pani małżonko ma sercem ukochana i wieczyście miła! Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojniech hartować, i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec, i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciołom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedychmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie waszej miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wie, może być że i w ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że wasza miłość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociaby i życia



dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinderbasza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach, i gotują się dać stanowczą bitew. Przetóż nie turbuj się wasza miłość najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociażbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny, a Pan Bóg wszechmocny da, że i syn nasz, miecz po ojcu wzięwszy, na karkach pohan zaprawi, i chociaby tak było, jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jakibądź zalecam waszej miłości najukochańszej małżonce miłość dla dzieci, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej... co Pan Bóg chce z swej łaski dać, niech się stanie; a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tym mnie modlitwom i łasce waszej miłości najukochańszej jejmości polecam, i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam. W obozie pod Cecorą die 6 Octobris.<sup>1)</sup> 1620. Jejmość do zgonu kochający małżonek i ojciec Stanisław Żółkiewski hetman w. koronny».

Po takich słowach gasła wszelka nadzieja. Wkrótce też ziściły się najsmutniejsze obawy. Gruchnęły jednocześnie dwie srogie wieści po Rusi — wieść o wtargnięciu Tatarów i o zniesieniu wojska nad Dniestrem. Dążące ku Tarnopolowi posiłki wojewody kijowskiego spotkały się w Bełzie z jedną i drugą. Nie było już poco ruszać

<sup>1)</sup> dnia 6 października

dalej nad Dniestr, a wypadło raczej zabieżeć Ordzie od strony Lwowa. Wyprawiono z Bełza dla powzięcia języka podjazd z kilkudziesięciu koni, który, połączywszy się z innym oddziałem od Potylicza ciągnącym, skierował się ku Lwowu.

Wtem za zbliżeniem się do hetmańskiego miasteczka Żółkwi uderzyły panów podjazdowych najpród okrzyki trwogi i z siół okolicznych, a potem wypadł od południa zagon tatarski, zmierzający prosto na Żółkiew. Co tchu zabiegają mu drogę oba podjazdy, i po żwawej utarczce odpełdzają pohańców od miasteczka i zamku. Wzbudzone przez panią kanclerzynę posiłki jeżeli nie mogły już dać ratunku mężowi i synowi, przynajmniej zgromadzonej teraz w Żółkwi rodzinie hetmańskiej pomoc przyniosły. Odparte od Żółkwi pohaństwo rzuciło się na sioła pode Lwowem, którzy już inne zagony krymskie i nohajskie grasowały zajadle. Tamże ku Lwowu zwrócił się ze swoją siłą zbrojną pan wojewoda Zamojski, i w połączeniu ze swoim szwagrem Stanisławem Lubomirskim jak mógł przycierał rogów Tatarstwu. Przez cały miesiąc październik trwała ta burda pogańska, a tymczasem rozwidniły się niektóre szczegóły okropnej klęski nad Dniestrem.

Długiego jednak potrzeba było czasu nim o wszystkim stanęła pewność. Z początku tylko resztki rozerwanego wojska, którym się powiodło zdążyć do Dniestru i ocaleć na jego lewym brzegu, o sobie samych przełknięoną zdawały sprawę. Było tej rozbitej zgrai niemało, gdyż liczono w niej kwarcianego towarzystwa ze dwustu i prawie połowę Lisowczyków, lecz z wyjątkiem kilku mężów znaczniejszych, składała ją samo pospólstwo obozowe. Z wodzów ocalał tylko jeden Szem-

berg, niemiec, komendant artylerji. Reszta naczelników, obaj hetmani, wszyscy znamienitsi rycerze, cała rządniejsza i waleczniejsza część wojska, niechcąca ocalić życia rozsypkowem zbieżeniem z szyku, pozostała po tamtej stronie Dniestru nie wiadomo zamordowani czy w niewoli. Żaden z Żółkiewskich nie powrócił do zamku Żółkiewskiego.

Zebrana tam rodzina płakała upadku całego domu. Niestało naraz ojca, synowca, syna, zięcia, siostrzeńca. Nawet wyprawieni z hetmanem przez drugiego zięcia Daniłowicza setnik Michał Chmielnicki i syn jego Bohdan nie powrócili z swoim poczem kozackim. Osierociałej Reginie Żółkiewskiej pozostały tylko słowa: «Zalecam waszej miłości pamięć na moje zwłoki».

Czempredziej udali się z Żółkwi wysłańcy ku Dniestrowi, aby powziąć pewną wiadomość o losie hetmana i jego syna, a przekonawszy się o ich życiu lub śmierci, zająć się odszukaniem zwłoków lub wykupieniem z niewoli. Potrzeba było uczynić jedno i drugie. O synu bowiem dowiedzieli się wkrótce orędownicy żółkiewscy, iż dostał się ranny w niewolę, i znajduje się u tatarskiego Kałgaj sultana Dewlet Giraja; o ojcu była pewność, że zginął. Już nazajutrz po ostatecznem rozbiciu wojska polskiego znaleźli plondrujący Turcy czy Tatarzy ciało hetmańskie na polu bitwy, i przechowali je jako towar do sprzedania wysłańcom spodziewanym. Miało ono głowę uciętą, prawą rękę odrąbaną, i było ranami i krwią okryte. Dawna blizna z pod Rewla pod kolaniem służyła dostatecznem świadectwem, iż nie zachodzi myłka w osobie. Głowę nieboszczyka odciąto zwyczajem bisurmańskim i obnoszono przed Skinder Baszą, który następnie odesłał ją padyszacho-

wi do Carogrodu. Okaleczony tułów wykupili bez trudności wysłańcy wdowy, a o głowę wypadło czynić osobne starania w Carogrodzie. Takimże dalszym zabiegom uległo także odzyskanie syna z niewoli w Krymie. Zażądano za niego daleko większej sumy okupu niż się znajdowała w ręku wysłańców, niż się, owszem, znajdowała w całym skarbcu żółkiewskim. Podają ją na 200.000 talarów, co podówczas znaczyło kilkakroć więcej niż dziś. Wrócili więc orędownicy bez syna, wioząc tylko zwłoki hetmańskie i wiadomość o potrzebie większych wysiłen ku wyzwoleniu jeńca. Gotowa była do nich znękana matka, i dzieląc serce swoje między straconego męża i syna, zajęła się przedewszystkiem oddaniem ostatniej posługi zwłokom pierwszego.

Cała Polska długiem i głósnem nabożeństwem towarzyszyła pogrzebowi swojego hetmana i bohatera. Z powodu bezprzykładnej klęski publicznej arcybiskup gnieźnieński Gębicki i biskup krakowski Szyszkowski nakazali uroczyste 40-dniowe nabożeństwo żałobne, z procesjami po rynkach i ulicach. Złożenie jednak ciała hetmańskiego w grobach pod kościołem żółkiewskim odbyło się, jak testament zalecał: — «bez pompy, bez owych koni, kirysów». Tylko zamiast aksamitu czarnego trumna przykryta była szkarlatem «na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitej». — «Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary św. i dla ojczyzny, ale nie wiem, jeśli tej łaski do Pana Boga godzien» — pisał cnotliwy starzec przed jedenastą laty w ostatniej woli swojej, a dzień dzisiejszy okazał go w pełnym blasku ziszczenia jego modłów ówczesnych, tak świetnie teraz wysłuchanych na krwawem polu cecorskiem. Po przemowach ku czci zmarłego nastąpiło dzięki-

wanie całemu zgromadzeniu za wyrządzoną nieboszczykowi usługę, którą w imieniu żony, córk i wnuków czynił znany nam sąsiad Daniłowiczów i przyjaciel całej rodziny, pan wojewodzie lubelski ze Złoczowa. Wymieniając z kolei wszystkich członków domu osieroconego, nie zapomniał mówca i o dalekim synu w niewoli.

«I sam JMC Pan starosta rubieszowski (Jan Żółkiewski) ciężkiem więzieniem i razami na placu poczciwości i na postudze ojczyzny odniesionemi strapiony, gdzieś tam z turmy swej na niebo pogładając, czuje w sercu swem ten żalorny dzisiejszy akt i nieraz gorzkiemi łzami zdaleka trumnę ojca swego i dobrodzieja oblewa, że do tej ostatniej posługi według powinności swej synowskiej nie mógł przybyć—a tylko z pogańskiej ziemi za tę chrześcijańską uczynność niejednem westchnieniem waszmościom mym miłościwym panom dziękuje».

Po oddaniu tułowu hetmańskiego spoczynkowi w ziemi święconej przyszło jeszcze później pogrzebać głowę. Uwieziona do Carogrodu, wisiała ona u sklepienia głównej bramy seraju cesarskiego. Widzieli ją tam podróżujący ziomkowie hetmana poległego i z żalem donosili o tem do Polski. Tureccy zaś dowcipnisie w Konstantynopolu powtarzali z upodobaniem ucinek jednego z dworskich poetów swoich, napisany o zwyciężonym «serdarze lehskim»: «Głowa jego zawieszoną została w złonym szacha pałacu; tego tylko rodzaju wysokie miejsce godzien on jest zajmować na dworze Osmanów».

Prędzej niż głowy ojca doczekała się rodzina powrotu syna z niewoli. Nastąpiło to dopiero po złożeniu owej wielkiej sumy okupu, do której zebrania użyć musiano środków najniezwykłych.

Nie mogąc zgromadzić dostatecznej ilości gotowizny, wydobyła pani kanclerzyna ze skarbcza żółkiewskiego wszystkie dawne srebra i kosztowności, «których natenczas pełno jeszcze było po skarbach» — dodaje w lat pięćdziesiąt jej prawnuk — i udała się z prośbą do króla, aby jej pozwolono wykuć z nich potrzebną sumę pieniędzy.

Zygmunt III przychylił się do żądania stroskanej matki, która prócz tego ściągała zewsząd wszelkie należące się kwoty gotówki. Kiedy mincarze królewscy wybijali w Żółkwi talary okupowe, nieszczęśliwa Regina domagała się u swego bratanka z Zamościa nadesłania pewnej sumy wypożyczonej, mającej przyczynić się także do wyzwolenia syna. «Jeśli mi waszmość tej sumy nie oddasz, ja syna tracę!» — pisze ona do wojewody kijowskiego we trzy miesiące po śmierci męża, i jeszcze w pół roku później też same powtarza skargi.

Nareszcie przecież stanął okup żądany — Jan Żółkiewski wrócił z niewoli. Krom starosty rubieszowskiego odzyskali podobnie wolność inni krewni domu Żółkiewskich, synowiec Łukasz i zięć Stanisław Koniecpolski, wykupieni z niewoli tureckiej w Konstantynopolu, i siostrzeniec Bałaban starosta winnicki, wyzwolony z jasyru u Tatarów. Na wykupienie tego ostatniego uchwaliła rzeczpospolita znaczny posiłek pieniężny, przeznaczając do tego 10.000 złp. z retent dawnego poboru. Wrócił także nakoniec jeden z obudwóch przez zięcia Daniłowicza wyprawionych do Wołoszy Chmielnickich, mianowicie syn Bohdan, przy powszechnem rozbiciu wojska wzięty w niewolę przez Turków a sprzedany od nich Tatarom. Ojciec Michał Chmielnicki dał natenczas gardło przy upadającym hetmanie, swoim niegdyś panu

i dobrodzieju, na którego chlebie w zamku żółkiewskim zaczęło mu się szczęścić w tem życiu. Syn Bohdan spędził dwa lata w Krymie, gdzie do swojej łaciny ze szkół kijowskich i collegium w Jarosławiu przyuczył się jeszcze języków tureckiego i tatarskiego, i nader blisko spoufalil się z obyczajami muzułmańskimi. Po dwóch latach takiej poniewolnej nauki, czyto przez matkę wykupiony, czy przez zamianę jeńców wolny albo też potajemnie z Krymu uciekłszy, wrócił młody Chmielnicki na Ukrainę i objął swój ojczysty futer Subotów. Dalsze lata wyprowadzą go stamtąd w niespodzianie srogiej postaci na widok całego kraju.

Za powrotem młodego Żółkiewskiego w progi domowe nadeszła osieroconej rodzinie pora rozpamiętywania wspólnej niedoli. Ostatnie chwile nieboszczyka hetmana stały się przedmiotem częstych rozmów w murach żółkiewskich.

Kiedy duch nieposłuszeństwa i buntu wziął górę w ustępującem ku Dniestrowi wojsku hetmańskiem, wszczęła się w taborze owej nieszczęsnej nocy z dnia 6 na 7 października trudna do opisanja zamieszka, ktorej już żadna siła ludzka powściągnąć nie zdołała. Jedni żądali wypoczynku, drudzy chcieli opuścić tabor i dopadać Dniestru kupami, hałasra obozowa w oczekiwaniu powszechnej wnet rozsyпки i bezkarności rzuciła się do plondrowania namiotów. Tymczasem Tatarzy pod swoim murzą Kantemirem coraz bliżej i tłumniej otaczali obóz wędrowny. W takim stanie rzeczy nie można już było myśleć o obronie taboru w razie silniejszego natarcia nieprzyjaciół.

Wtem daje się słyszeć w obozie tętent cwałującej zdaleka jazdy. Przestraszona tłuszcza po-

rwała się na koń z obozu, w rozsypkę po nocnym stepie. Nie pomogło przekonanie się wkrótce, iż to byli swoi, Lisowczykowie, wracający z pomyślnego podjazdu. Rozwarłe raz wrota taboru nie dały się zawrzeć żadnym rozkazem. Niebawem też naprawdę uderzyli z tyłu Tatarzy, i wdarli się do taboru. Co żyje, pierzchnęło cwałem w pole otwarte, aby pojedynczemi gromadami ratować się ku Dniestrowi. Tylko ze 300 rycerstwa zostało przy hetmanach, ustępujących pieszo z taboru. Postanowiono pospinać konie, i zasłoniwszy się niemi jako ostatnim rodzajem wału, iść naprzód, odstrzeliwając się nieprzyjacielowi. Żółkiewski wobec wszystkich przebił konia swojego, na znak iż w żadnym razie uchodzić nie myśli. Poczem, oparłszy się jedną ręką na poruczniku Złotopolskim a drugą na domowniku swoim Kurzańskim, mając przed sobą hetmana polnego Koniecpolskiego i pana Tarnowskiego, puścił się w drogę z towarzyszami.

Szli tak wszyscy z ćwierć mili, aż nadleciała chmura Tatarów, może ze 2000 pogaństwa. Natenczas z ostatnich trzechset towarzyszyów hetmańskich kto się tylko dorwać mógł konia, wskoczył na niego i pierzchał. Po coraz tłumniejszych odstępstwach nad Prutem, w taborze i teraz w czystym polu, nie więcej jak jedenastu wierznych wytrzymało do końca przy hetmanie. Złamanym tym ostatnim zawodem starzec blizkim był opadnięcia na siłach. Obskoczyli go więc przyjaciele, blagając, aby chciał wsiąść na konia. Przeprowadzono mu z kolei 3 konie do ocalenia drogiego ojczyźnie życia. Jednego nadesłał mu syn własny Jan, wraz z rannymi bratankami jadący z tyłu na wozie. Ale pan kanclerz kazał mu odpowiedzieć: «Gdzie owce giną, tam powinien i pa-

sterz, boby się go spytano: gdzie podział owce?» Z drugim koniem nadbiegł kto inny, któremu odrzekł Żółkiewski: «Nie wsiądę, miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nade mną wyrok swój, który uczynił, kończy». Podał mu trzeciego dawnego zięć i ukochany przyjaciel, pan hetman polny Stanisław Koniecpolski. Temu odpowiedział pan kanclerz: «Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź. Meliori fortunae na usługę Rzeczypospolitej serwa te,<sup>1)</sup> a ja swym tułowem do ojczyzny nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę».

Wszakże ulubieniec hetmański nie dał się ustraszyć taką odmową. Wraz z porucznikiem Złotopolskim wsadził starca siłą na konia, kiedy właśnie przelatywał koło nich jakiś ostatni hufiec rozbitej jazdy polskiej. Czy to z własnej woli, czy uniesiony przez konia, złączył się starzec z tym hufcem, który wkrótce znikł z oczu. Co się dalej stało, nie widzieli już wierni towarzysze i opowiadacze ostatnich chwil hetmańskich.

Nazajutrz po bitwie znaleziono ciało hetmana pokaleczone na pobojowisku między trupami. Ciężkie rany na piersiach i ręka odrąbana świadczyły, iż poległ walcząc. Zachowała się wieść, że napadnięty ze swoim hufcem przez pohańców, «skoczył w kupę, gdzie przez Czerkiesa zabity. Ten głowę mu uciawszy, oddał ją Iskender Baszy, o co sultan (Gałga) rozgniewany kazał Czerkiesa ściąć».

Pamięć poległego bohatera pozostała świętą rodzinie. Jakby go sobie Opatrzność wybrała była za szczególnie przedmiot miłości swojej, przypominano sobie w jego życiu różne znaki cudowne,

<sup>1)</sup> zachowaj się na lepsze czasy.

nito promyki świecącej mu z góry łaski, wskazujące od najwcześniejszych dni przeznaczenie jego do wielkich czynów. Kiedy jeszcze był dziećciem u piersi mamki, i chował się w owym dworcu ojcowskim w Turzynie niedaleko od Żółkwi, odbiegała go mamka jednego razu na trawie w sadzie, bez żadnej ochrony od srogiego upału słońca. Wówczas zleciał z góry jakiś ptak duży, i wieszając się nad dziećciem, zasłaniał je skrzydłami od skwaru słonecznego, aż póki nie powróciła piastunka. Później, kiedy zapomniana w sadzie dziecina urosła w męża, a mąż ten rozbijał potęgę całego państwa w zuchwałej bitwie kłuszyńskiej, widziano znowu jakiegoś ptaszeczka białego, siedzącego tuż za nim przez cały przeciąg boju, jakby mu chciał dodawać ducha w walce z niestłuchaniem liczniejszym nieprzyjacielem. Jakoż i dzień ostatniej walki nad Dniestrem lubo bez zjawisk nadzwyczajnych, nie był dla hetmana bez łaski Bożej. Dostał on w dniu onym, czego tak pobożnie pragnął przez całe życie, i co nawet przewidział poniekąd wieszczym duchem. W jednym z późniejszych testamentów pisze Żółkiewski: «A jeżeliby w Wołoszech albo gdzie za granicą śmierć mi Pan Bóg posłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tem miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla ambicyj jakiej tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wiek potomny, szanując pamięć moją, wzbudzał się do nowych prac i zasług».

Regina Żółkiewska kazała wzniesić mężowi za Dniestrem pomnik z kamienia ciosowego, który wiekiem nadszczerbiony widzieć można dotąd wśród pól otwartych. W kościele żółkiewskim stanął bohaterskiemu fundatorowi po lewej stronie ołtarza czarny grobowiec marmurowy z upominają-

cym następne pokolenia napisem: «Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, ode mnie ucz się...» Nierównie wspanialszym pomnikiem chciał go uczcić w dziejach syn jego.

III.

## Jan Żółkiewski.

Po śmierci hetmańskiej został panem Żółkwi młody Jan Żółkiewski, starosta hrubieszowski. Olesko i Złoczów trwały pod swoimi dawnymi właścicielami. W rok po wojnie cecorskiej nastąpiła wielka wyprawa turecka pod osobistym dowództwem cesarza Osmana przeciw Polsce. Trzydzieści kilka tysięcy rycerstwa polskiego i trzydzieści tysięcy Kozaków pod najwyższą wodzą hetmana w. litewskiego Karola Chodkiewicza oparło się w okopach chocimskich przemocy czterokroć stu tysięcy Muzułmanów. W. hetmanowi Chodkiewiczowi przydany był ku pomocy wojewódzic lubelski Jakób Sobieski, zalecony pamięcią zasłużonego ojca i własną posługą w niedawnej wojnie moskiewskiej.

Przy rozpoczętych rokowaniach o pokój, które na podstawie dawnego stanu rzeczy zakończyły całą wyprawę chocimską, podarzyło się Sobieskiemu okazać tyle rozumu i gorliwości, że cały traktat w znacznym stopniu za jego dzieło uchodził.

Uradowana pokojem Polska odwdzięczyła mu to powszechnem poważaniem, lubo wojewódzic lubelski nie posiadał jeszcze żadnego urzędu ani tytułu. Dopiero w r. 1624 otrzymał starostwo

krasnystawskie, a w kilka lat począł używać tytułu krajczego koronnego. Bo wtedy zasługi szły przed urzędem i tytułami, a młodość owych ludzi, którzy w latach dojrzałych przewodniczyć mieli krajowi, obłana była znojem pracy, krwią walki, jeżeli nie krwią śmiertelną.

Do takich młodych ludzi owego czasu należał Jan Żółkiewski. Jako jedyna nadzieja domu doznawał on podwójnej troskliwości rodziców. Ale troskliwość ta była lękliwszą o przyszłą szlachetność jego duszy niż o wygodę i bezpieczeństwo dni jego. Lepiej bowiem — mniemali oboje państwo kanclerstwo — iżby dom ich zaginął bezpotomnie, niż żeby syn odrodził się od ojca i przodków swoich. Jeśli ród hetmański miał istnieć, niechby bohaterskich wydawał ludzi. Toż i ojciec i matka jakby zbroją rycerską zaprawiali do hartu młodzieńczy umysł syna, i uczyli go zapatrywać się na życie okiem surowem, cenić w niem raczej obowiązki i walkę niż przyjemności i używanie.

Już od lat młodocianych dla przywykania trudom wojennym do obozu wysłany, zapragnął był młody Żółkiewski powrotu do swoich ulubionych nauk matematycznych, bez których nie pojmowano wówczas przyszłości wodza. Dano o tem wiedzieć pani kanclerzynie, która w liście z dnia 2 grudnia r. 1609 odpowiedziała:

«Widzę, że mu się już wojaczka sprzykrzyła, ale nie wadzi mu jeszcze przycierpieć nędzy w dymnej izdebce, żeby wiedział co nędza, a potem żeby umiał swoje szanować, jeśli będzie miał co kiedy. Nauka jest bardzo pożyteczna, i sama jestem za tem, żeby wrócił po jakimś czasie do nauk, aczci i tam nie próżnuje, widząc takie woj-

ska i dzieła rycerskie, może się też nauczyć czego».

W testamencie zaś z r. 1606 upomina pan hetman jedynaka: «Janie, synu mój najmilszy, do ciebie teraz mowa moja. Z tego świata mi nie żał z inszej miary, ciebiebym był rad wprawował do bogobojności i wszelakich uczciwych spraw... Młodsze lata swe naukami polewaj, nie daj się nikomu w młodości twojej od tego odwozić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę i wielki ratunek do godności, do służby Rzeczypospolitej, do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów jako wiele ich, nie mam chęci do nauki, w twojej mocy ta chęć, każdy kto chce, może ją mieć. Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam nie małą wiadomość historyi, i w biegu spraw siłam się tem ratować, zem przeszłych wieków sprawy wiedział. Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, rycerskie ćwiczenie jest szlachcicowi najprzystojniejsze, tem się paraj, próżnowania jak powietrza się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził, przy hetmanie się pierwej baw. Rzeczom się przypatruwszy, dopiero też rotę możesz wieść. A jeśliby się potrzeba jaka Rzeczypospolitej podała, nie zostawałem sam nadzad. Nie dla chluby to wspominam, ale żebym z mego przykładu w tobie tem większą chęć pobudził do naśladowania cnoty ojcowskiej. Z przednimi się bierz, miej się do pokazania cnoty szlacheckiej, do uczciwej sławy. W kupie nie będzie cię znać, liczbą będziesz. Pomnij na to, że włos z głowy człowiekowi nie spadnie bez woli Bożej. A kiedy to dobrą intencją dla służby dla dobrego Rzeczypospolitej czynić będziesz, pójdzie za tem uczciwa sława, będziec Pan Bóg błogosławił. Abyś też i umarł przy tem, nic osobliwszego potkać

cię nie może. I poganie tak rozumieli, że śmierć dla ojczyzny słodka. Nuż jeszcze dla wiary świętej, jeśliby się trafi okazyja czynienia przeciwko Turkom, Tatarom. Takim umysłem położyć żywot i u ludzi sławno i u Pana Boga (co jest najświętsza) odplatno. Jakom ja za najprzedniejszą część dziedzictwa wziął ten umysł z ojca swego, i ty chciej być dziedzicem jako w czem innem, tak osobliwie umysłu mego. Niech przez cię nie będzie polżona, ale owszem pomnożona uczciwa sława moja...»

Młody starosta rubieszowski wpoił sobie głęboko przepisy rodzicielskie. Przekonało o tem pobojowisko na dolinie cecorskiej, gdzie Jan Żółkiewski okazał się ze wszech miar godnym dziada i ojca. W dniu 19 września zaszła na Ceczere walna rozprawa, w której z przyczyny bezładnego uszykowania skrzydła prawego zaczęło chwiać się szczęście na stronie polskiej. Wówczas młody syn hetmański z również młodym bratanikiem Łukaszem starostą kałuskim, rzucił się na czele swoich chorągwi naprzód, porwał za sobą zwichnione prawe skrzydło, lecz otoczony prze magającą siłą nieprzyjacielską odniósł ową ranę od strzału pod kolano, która skazała go na nieczynność w dalszym ciągu wyprawy, i może przez to ocalała mu życie.

Dopóki ojciec żył, wypadło narażać zdrowie dla pomnożenia sławy rodzica i dobra Rzeczypospolitej — po śmierci ojca przyszło zemścić go na wrogach kraju. Był to główny obowiązek rodziny, który wkładał nań uroczyste sam ojciec, pisząc w owym ostatnim liście z pola śmierci do żony: «Pan Bóg wszechmocny da, że syn nasz miecz po ojcu wzięwszy, na karkach pohan za-

prawi, i choציaby tak było, jak rzekłem, pomści się krwi ojca swego».

A wymaganiom ojca towarzyszyły również surowe życzenia matki. Niewiasty tego rycerskiego domu pałały równie marsowym duchem, jak ich mężowie i ojcowie. W świątyni, która dziś przechowuje groby, posągi i wizerunki tej bohaterskiej rodziny, widać po jednej stronie ołtarza obok pomnika w. hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego wizerunki jego matki i żony Reginy w stroju zakonnym — a pod temi postaciami niewieściami jakież napis pobożny wyraża ich uczucia? Oto wypisany jest pod obrazami wiersz z Pisma św. z księgi mścicielki narodu żydowskiego Judyty, grożącej zemstą nieprzyjaciółom: «*Vae genti insurgenti...* Biada narodowi na naród mój powstającemu, bo Pan Bóg wszechmogący będzie się mścił nad nimi... Nie zadrzało więc serce owdowiałej Żółkiewskiej na myśl podania się syna w nowe niebezpieczeństwa dla pomszczenia cieniów ojcowskich. W duszy zaś młodego pana Żółkwi powstał niezłomny zamiysł uiszczenia w pamiętny na wieki sposób ostatniej woli ojca — sprawienia mu głośnej po całym świecie zemsty na głównych sprawcach jego zgonu — Tatarach.

Dojrzał ten zamiysł w Janie Żółkiewskim jeszcze podczas niewoli w Perekopie, a miał na celu czyn niejednokrotnie już zamierzany, opanowanie całego Krymu. Do takiego powszechnego, przez całą rzeczpospolitą uchwalonego, przez rycerstwo wszystkich prowincyi dokonanego uderzenia na Krym, niepodobna było nakłonić serca wojennej szlachty — a zuchwałę wyprawy pojedynczych panów rycerskich do tej ziemi, znacznemi niekiedy, lubo najczęściej prywatnie zebranemi siłami po-

dejmowane, raz po raz się powtarzały. Wstąpili się niemi w ciągu zeszłego wieku: Wiśniowiecki, Pretfic, Albrycht Łaski, a osobliwie starosta śniatyński Mikołaj Jazłowiecki. Ten ostatni z narażeniem fortuny własnej zaciągnął liczne tłumy Wołochów i Kozaków, i wtargnąwszy z nimi do Krymu, byłby, zdaniem wielu, opanował półwysep, gdyby nie ustąpienie drużyn kozackich, które przez cesarza Rudolfa powołane na Wołoszczynę, opuściły starostę w pół wyprawy. Z temiż siłami umyślił także młody starosta hrubieszowski zemścić wielkiem dziełem śmierć ojca, zemścić swoją własną krew i niewolę. Co o mało nie powiodło się Jazłowieckiemu, czemużby Pan Bóg nie dał dokonać posłusznemu synowi, spełniającemu na karbach pogan ostatnią wolę ojca bohaterskiego. O przychyleniu się Kozaków do jego zamiaru nie można było wątpić. Za czasów panującego teraz Kozaczyźnie «Hetmana obu stron Dniepru», sahadacznego Piotra Konaszewicza, przymnożyło się «sto razy tyle Kozaków», ile ich liczono za króla Stefana Batorego, a w kupie i siła z ochotą do najzapamiętalszych przedsięwzięć rosła. Jakoż nim jeszcze starosta hrubieszowski stanął z Krymu w progę domowym, nastąpiło zupełne porozumienie między nim a Kozactwem. W drodze z Perekopu przez Ukrainę zniósł się Żółkiewski z przedniejszych wodzami kozackimi i zawarł z nimi ścisłe przymierze przeciw Tatarom, na zawojowanie ich kraju. Będąc jeszcze bezżennym czyli, jak mówiono wówczas, «młodzieńcem», a temsamem żadnemi względami familijnemi nie krępowany, miał on sprzedać wszystkie dobra dziedzićne, a zebranych z tego pieniędzy użyć ku zaciągnięciu jak najliczniejszych hufców. Pozostało tylko spieniężyć majątek i podziękować królowi za in-



stancję około uwolnienia z jasyru, poczem obo-  
wiązano się natychmiast wyruszyć w pole.

Młody pan Żółkwi zabawił niedługo w domu  
rodzinnym i udał się niezwłocznie do Warszawy,  
aby ucałować rękę królewską. Odbywał się właś-  
nie sejm zwyczajny w stolicy, na którym sejmuj-  
ąca szlachta sąsiadowi i przyjacielowi Żółkiew-  
skich, panu Jakóbowi Sobieskiemu ze Złoczowa,  
w znak wdzięcznego poważania swojego po raz  
pierwszy laskę marszałkowską oddała. Młody Żół-  
kiewski złożył podziękowanie królowi, i ile moż-  
ności potajemnie nad skutecznieniem zamysłu  
powziętego pracował. Rzeczpospolita miała igno-  
rować przygotowaną wyprawę, kierując się tą  
samą zasadą, którą już i przy zamierzonem przez  
Jazłowieckiego zniesieniu Krymu zachowywano,  
t. j. «nie mogąc pozwolić, nie przeszkadzać». Wszyscy zaś rycerscy ludzie onego czasu, któ-  
rych starosta hrubieszowski wtajemniczył w swoją  
intencję, i obeznał ze środkami do jej dopięcia,  
rokowali niezawodną pomyślność dziełu.

Wtem pierwiej nim zbrojąca się zcicha ze-  
msta spadła na karki pohaństwa, złamał młodego  
starostę dawny cios muzułmański. Zadana mu  
w bitwie cecorskiej rana, dostatecznie niedoleczo-  
na, rozwarła się niespodzianie w Warszawie i za-  
biła go swoim jadem. Ku niezmiernemu żalowi  
powierników i towarzyszków, umarł przyszły wódz  
wyprawy w malignie, marząc o płonącym pod  
kozacką pochodnią Perekopie.. A przecież «wy-  
leczy się» — zapowiadał ojciec w liście do króla.

Dopiero około tegoż czasu powiodło się wy-  
kupić w Stambule zawieszoną w seraju głowę  
hetmańską. Jednym i tym samym pogrzebem  
złożono w grobach Żółkiewskich ciało syna i głó-  
wę ojca. Wymowny przyjaciel domu, pan woje-

wodziec Jakób Sobieski ze Złoczowa, i tym razem  
zabierał głos w imieniu coraz szczuplejszej rodzi-  
ny i dziękował zgromadzonym za obecność przy  
uroczystości żałobnej. Naprzeciw pomnika ojcow-  
skiego wznosił się w kościele żółkiewskim skrom-  
niejszy grobowiec syna, na którym krótki, ale  
treściwy napis: «Wielkiego rodzica, do wielkich  
rzeczy zrodzony syn jedyny. Umarł 1623».

W rok po synu poszła do grobu matka. Po  
raz trzeci od lat czterech zebrało się w zamku  
żółkiewskim liczne grono panów i szlachty na akt  
żałobny, który cały naród obchodził, a pan Jakób  
Sobieski znowu pogrzebową miał mowę. Po raz  
trzeci od lat czterech chowano w grobach żół-  
kiewskich zwłoki, w których wielka dusza mie-  
szkała—zwłoki ojca, syna i matki, jakich zapew-  
ne niewiele rodzin posiadało razem na ziemi.  
«Jeśli gdzie w tych czasach» — uważał słusznie  
w mowie na cześć zmarłej Sobieski — «większe  
żałosnych tragedyi teatrum się otworzyło, tedy  
w tym zacnym a świętym domu Żółkiewskich...»

Otworzyło się, ale się nie zamknęło. Pozosta-  
wała bowiem jeszcze do spełnienia zemsta za  
krew hetmańską nad Dniestrem, włożona niejako  
obowiązkem na syna i następców, a lubo ze  
śmiercią starosty hrubieszowskiego wygasł ród  
hetmański po mieczu, nie zabrakło mu do ostatka  
potomków. Żyła jeszcze córka hetmańska Zofia,  
wojewodzina ruska Daniłowiczowa w Olesku,  
matka dwojga kilkunastoletnich w tej chwili dzie-  
ci, córki Teofili i syna Stanisława. Ten ostatni  
był przez matkę dziedzicem fortuny swego wuja,  
niedaleka zaś przyszłość okazała, że się poczyty-  
wał także dziedzicem jego niedopełnionego obo-  
wiązku pomszczenia na Tatarach krwi hetmań-

skiej. Cała tedy Żółkiewszczyzna spadła na wnuka hetmańskiego Stanisława z Oleska.

W imieniu małoletniego syna i żony objął spuściznę pan wojewoda ruski Jan Daniłowicz, a trzy nasze zamki czerwonoruskie już teraz tylko dwóch panów miały. Owszem jednocześnie ze spłynieniem Żółki i Oleska w jedną całość ścieśnił się także węzeł między Oleskiem a Złoczowem.

W tym samym roku 1624, który zabrał ze świata panią kanclerzynę i hetmanową w. koronną w Żółki, umarła w Złoczowie pierwsza małżonka Jakóba Sobieskiego, Maryanna księżniczka Wiśniowiecka, córka byłego wojewody ruskiego księcia Konstantyna na Zbarażu Wiśniowieckiego. Nim cztery lata minęły, dospiała w lata terazniejsza wojewodzianka ruska Teofila w Olesku, i przysłała pora panu Jakóbowi Sobieskiemu, obecnie już staroście krasnystawskiemu, wybrać sobie inną towarzyszkę dożgonną.

Osobista przychylność i dawna zażyłość z rodzicami ciągnęły starostę ku wojewodziance ruskiej Teofili, dziewicy nadobnej i umysłu męskiego, prawdziwej wnuce hetmańskiej, ale zachodziła przeszkoda kanoniczna, byli sobie bowiem powinowatymi czwartego stopnia; dopiero po osiągnięciu dyspensy nastąpiło zaślubienie sąsiedzkiej pary.

W niewiele miesięcy później, w r. 1628 umarł we Lwowie a pogrzebiony został w Olesku pan wojewoda ruski Jan Daniłowicz, zostawiając synowi Stanisławowi, natenczas młodzieńcowi lat ośmnastu i gwoli naukom za granicą bawiącemu, swoją i teścia swego fortunę oleską i żółkiewską, z pięknem, według zwyczaju ówczesnego, upomnieniem ojcowskiem w testamencie.

W tym samym roku, kiedy się odbył w Olesku pogrzeb wojewody Daniłowicza, winszowano tam

jego zięciowi Sobieskiemu narodzenia się z Teofili Daniłowiczówny syna pierwszego. Było to wielkiem błogosławieństwem Bożem, za które tem korniej dziękował ojciec, ile że po kilku latach pozycia w pierwszym i drugim stadle nie dochował się żadnego dotąd potomstwa. Na cześć sławnej pamięci dziada po mieczu, wojewody lubelskiego Marka Sobieskiego, dano nowonarodzonemu na chrzcie św. imię Marek. «W pięć ćwierci roku» później, dnia 2 czerwca r. 1629, powiła pani krajczyna koronna Teofila Sobieska w zamku rodziców swoich Olesku syna drugiego. Ten na cześć dziada po kądzieli, wojewody ruskiego Daniłowicza, ochrzczony został imieniem Jan. Jako syn drugi był on dla rodziców mniej niezwyčajną radością od pierwszego, ale łaskawe mu nieba zdawały się jakiemiś niepowszednimi znamiony odznaczać chwilę jego narodzin. Jan Sobieski urodził się śród grzmotów i błyskawic, któremi straszna burza czerwcową to wstrząsała, to oświecała górę zamkową.

O tymże samym czasie spadła na ziemie ruskie jeszcze szkodliwsza burza tatarska, ale jakby w przepowiedź nowego niebawem czasu, spotkała od hufców polskich tak srogi odpór, jakiego oddawna nie doznało pohaństwo. Mimo którychto znaków wróżbnych trwali rodzice w swoim uprzedzeniu dla syna pierworodnego, który na całą przyszłość pozostał głównym przedmiotem ich miłości i oczekowań. Zwłaszcza matka przylgnęła sercem do Marka i jedynie dla ujrzenia jego kiedyś wielkości pragnęła przydłużenia dni swoich. Wnuka bohatera, i sama bohaterskim natchniona duchem, radaby była Teofila Sobieska widzieć ulubionego syna swojego osobiwie zwy-

cięskim mścicielem dziada, pogromcą nieprzyjaciół Chrystusa i jej rodu.

Lata przecież upłynąć miały aż do dnia tego, w którym ziściłoby się mogły życzenia spartańskiej matki. A tymczasem inny członek rodziny podniósł oręż nakazanej przez dziada zemsty.



135356  
~~120055~~

1

1. **Słowacki J.** Balladyna. — 25
2. **Mickiewicz A.** Grażyna. — 12
3. — **Konrad Wallenrod.** — 15
4. — **Sonety Krymskie, Farys, Szanfary, Almotenabbi.** — 10
5. **Słowacki J.** Anelli. — 10
6. — **Lilla Weneda.** — 25
7. **Konopnicka M.** Ziemia polskie. Krajobraz. — 20
8. **Malczewski A.** Marya. Powieść. — 12
9. **Brodziński K.** Wiesław — 6
10. **Goszczyński S.** Sobótka. — 5
11. **Krasicki I.** Bajki i przypowieści. — 15
12. **Pol W.** Mohort. Rapsod rycerski. — 25
13. **Słowacki J.** Ojciec zadźmionych — 8
14. **Syrokomla W.** Janko Cmentarnik. — 7
15. — **Jan Dęboróg** — 12
16. **Zieliński G.** Kirgiz — 8
17. **Pol W.** Pieśń o ziemi naszej. — 10
18. **Niemcewicz J. U.** Spiewy historyczne. — 15
19. **Krański Z.** Przedświt — 8
20. **Słowacki J.** Marya Stuart — 15
21. **Krański Z.** Psalm miłości — 5
22. **Syrokomla Wł.** Ułas — 10
23. — **Kęs chleba** — 7
24. **Lenartowicz T.** Lirenka. Cz. I. — 6
25. — **Lirenka. Cz. II.** — 6
26. **Mickiewicz A.** Bajki i Powiastki — 6
27. **Słowacki J.** W Szwajcarji, Erotyki. — 10
28. **Mickiewicz A.** Ballady i romanse — 12
29. **Witkowska H.** Dzieje ustroju Polski. — 80
30. **Krasicki I.** Satyry. — 12
31. **Krański Z.** Irydion — 40
32. **Krański Z.** Poezye liryczne. Cz. I. — 10
33. **Korzon T.** Grunwald. — 12
34. **Glatman L.** Wielka wojna. — 60
35. **Słowacki J.** Poezye religijne. — 8
36. **Krański Z.** Poezye liryczne. Cz. II. — 10
37. — **Poezye liryczne. Cz. III.** — 10
38. — **Noc letnia.** — 12
39. **Słowacki J.** Poezye liryczne. Cz. I. — 8
40. — — Cz. II. — 8
41. — — Cz. III. — 10
42. — **Genesis z Ducha.** — 10
43. — **Zawisza Czarny.** — 25
44. — **Wybór listów. Cz. I** — 25
45. — — Cz. II. — 25
46. **Skarga P. Ks.** Kazania Sejmowe — 50
47. **Krański Z.** Nieboska Komedya. — 20
48. **Mickiewicz A.** Wybór utworów lirycznych. Cz. I. — 10
49. — — Cz. II. — 10
50. — — Cz. III. — 10
51. — — Cz. IV. — 10
52. — **Giaur, prz. z Byrona.** — —
53. **Brodziński K.** Wybór poezyi. — 15
54. **Kochanowski J.** Wybór poezyi. Cz. I. Odprawa posłów greckich, tragedia. — 15
55. — — Cz. II. Poematy. — —
56. — — Cz. III. Sobótka. Treny. — —
57. — — Cz. IV. Pieśni i Fraszki (wybrane). — —
58. **Pol W.** Wybór liryk. Cz. I — 25
59. **Or-Ot.** Epopeja napoleońska — 15